

MARCIN WOLSKI

KOREKTURA

1993

I

Helikopter zniżył lot. Leciał teraz ponad przesieką, którą zostawili po sobie budowniczo wie siewierno–uralskiej nitki gazociągu. W narastającej szarówce coraz bliższy grzbiet Uralu zdawał się być barierą oddzielającą realny świat od czegoś zupełnie nieznanego. Przyszłości?

— Za pięć minut lądujemy, Towarzyszu Przewodniczący — zameldował pilot.

Pasażer skinął głową

Z powietrza Prognalcentr sprawiał wrażenie opuszczonej osady górniczej. Najbardziej jednak przypominał niezbyt staranną plombę w zębatym górskim masywie. Wśród drzew z rzadka pobłyskiwały światełka. Śmigłowiec usiadł na niedużym dziedzińcu, wzbijając tumany zmrożonego śniegu.

Nie było ekipy powitalnej. Oprócz generała Smirnowa na gościa oczekiwał adiutant komendanta i wysoka kobieta w wojskowej czapce — Elena Fedorowa.

Przybysz wyskoczył z helikoptera ze zwinnością, o którą trudno by go podejrzewać przy jego zaawansowanym wieku. Ucisnął dłoń generała. Każdemu wypowiedzianemu słowu towarzyszyły kłęby pary. Luty 1978 roku był wyjątkowo mroźny. Za metalowymi drzwiami było trochę cieplej. Jeszcze cieplej okazało się w windzie. A w podziemnym gabinecie komendanta panował zgoła tropikalny upał, choć wyposażenie wnętrza zdradzało spartańskie upodobania gospodarza.

Oko gościa przez chwilę zatrzymało się na stojącej na biurku fotografii przystojnej niewiasty.

— Słyszałem, że wasza żona zmarła w zeszłym miesiącu, Mikołaju Aleksiejewiczu.

Usta Smirnowa drgnęły.

— To był wypadek — rzekł lakonicznie. — Pijany kierowca ciężarówki staranował jej samochód.

— Oto i cała nasza Rosja. Życie i śmierć zależne od jednego pijanego kierowcy — skomentował przybysz.

Elena zamknęła drzwi. Smirnow nalał koniaku. Gość ledwie umoczył usta.

— Rzeczywiście udało się? Nie mogliście przesłać mi więcej informacji?

Smirnow pokręcił głową

— Naprawdę zaciekawiacie mnie. Czy sporządziliście coś takiego, czego nie mogą poznać nawet moi koledzy z Biura Politycznego?

— Proszę, tu jest raport. Uznałem, że powinien go przeczytać tylko Towarzysz Przewodniczący. Osobiście.

Gość chciał się uśmiechnąć, ale kamienna twarz Smirnowa zmroziła go. Popatrzył więc na wiszącą na ścianie mapę. Ogromną mapę świata, której centrum stanowiła Eurazja, a przepołowione Ameryki przywodziły na myśl labry z boków tarczy herbowej. Ze środka bił czerwony żar imperium, lekko jaśniejsza tonacja oznaczała państwa satelickie. Amarant zarezerwowano dla Chin i Indochin, zaś róż pokrywał rozległe połacie Afryki, której biedne kraje wstępowały na drogę postępowych przemian. Zgoła blade wypadały tereny, gdzie miało dojść dopiero do zmian: podminowana teologią wyzwolenia Ameryka Łacińska, Portugalia, Francja, Włochy o potężnych, choć eurokomunizujących partiach leninowskich. Prześcieradłana biel pokrywała jedynie Stany Zjednoczone i Kanadę... Ale zespół kartografów przygotowujący mapę był przekonany, że i ta terra incognita wkrótce się zaróżowi.

— A więc co jest takiego alarmistycznego w prognozie profesora Liwszyca?

— Mówiąc krótko, wyliczenia zaskoczyły wszystkich, z nim włącznie. Według długoterminowej prognozy w 1993 roku nie będzie Związku Radzieckiego.

* * *

Ostry dzwonek na biurku poderwał profesora Liwszyca od sterty wydruków.

— Przejrzyj to jeszcze raz, Pietia! Coś mi nie pasuje w Q-23/191.

Mężczyzna z dystynkcjami starszego lejtnanta wstał od komputera i skinął głową. Był wysoki, jasnowłosy, z zawadiackim wąsikiem. Przypominał witezia z ruskich ludowych skazek.

— Czasem przy dwudziestce trójce zdarzały się niekonsekwencje. To przecież czterdziestopięcioprocentowa próba. Czy Towarzysz profesor jeszcze wróci?

— Naturalnie, zdaje się, że mamy dziś wielki dzień. Sam Przewodniczący Jurij Andropow zapoznaje się z naszym raportem. Mam być u niego za pół godziny.

— Przeczyta i obedrze nas ze skóry — westchnął starszy lejtnant.

— To wielki umysł. Pojmie w mig to, czego nie może skapować służbista Smirnow. Mówię ci, Pietia. Dokonałiśmy największego odkrycia w historii. Naukowo zbadaliśmy przyszłość.

Lebiediew nie skomentował tej wypowiedzi. Zresztą profesor nie miał zamiaru go słuchać. Podrapał się tylko w rzadką bródkę, aż kurzawa łupieżu otoczyła go przelotną mgiełką, potem chwycił teczkę i podreptał w stronę drzwi.

Z komputerni Ilia Dawidowicz Liwszyc skręcił w podziemny łącznik, otworzył kartą magnetyczną pancerne drzwi, następnie przeszedł liczącym dwieście metrów korytarzem wykutym w skale, sforsował kolejną bramę, minął wartownię i skręcił do pawilonu B. Chciał jeszcze wziąć ze swojego prywatnego gabinetu kilka ciekawych materiałów. Zabrawszy je pośpiesznie pojechał na poziom IIIa i wszedł w Czarny Korytarz. Dopiero tu zaczynało się jego prawdziwe królestwo. Przez szklane ściany mógł zajrzeć do kwater swoich podopiecznych, nie będąc przez nich widziany.

Ileż to lat upłynęło zanim zgromadził swoją zdumiewającą kolekcję. Liwszyc, z wykształcenia antropolog, wcześniej zainteresował się niekonwencjonalnymi źródłami wiedzy. Jeszcze w czasach Stalina powołano komórkę zajmującą się analizą tekstów wyroczni i przepowiedni. Beria zatrudniał, podobnie jak Hitler, kilku astrologów. Za Chruszczowa jednak do łask dopuszczono cybernetykę, a psychotronikę pozostawiono maniakom i szarlatanom. Tajemnicą Liwszyca, który otarł się o komórkę krwawego Ławrentija, pozostanie, jak udało mu się zachować swoją małą placówkę, jak zewidencjonował dziesiątki, potem setki, a po latach tysiące jasnowidzeń, objawień i proroctw.

Wreszcie znów zdołał zainteresować swoją pracą KGB. Ale traktowano go usługowo. Jego jasnowidze byli wykorzystywani do odnajdywania zaginionych ludzi, rzeczy. Przydawali się do wykrywania obcych agentów, stawiali horoskopy w doraźnych sytuacjach.

Aliści z końcem lat sześćdziesiątych Liwszyc znalazł dojście do samego Andropowa. Szef Komitetu Bezpieczeństwa Kraju był człowiekiem otwartym na wszelkie pomysły, mogące służyć sprawie komunizmu. Znalazł odpowiednie środki i ulokował profesora w starym ośrodku NKWD na Uralu, o którym przypomniano sobie podczas budowy gazociągu. Zresztą w bazie mieścił się już zespół ochrony odcinka przed ewentualną dywersją.

Decydująca dla rozwoju placówki była notatka Liwszyca przewidująca śmierć Nasera i polityczną woltę Sadata. Jeden z niższych urzędników KGB zlekceważył ją, co zresztą przypłacił wyjazdem za koło polarne. Egipt został wprawdzie stracony, ale Andropow wyciągnął odpowiednie wnioski. Liwszyc otrzymał opiekuna w postaci pułkownika Smirnowa podporządkowanego bezpośrednio Przewodniczącemu i profesor mógł nareszcie rozwinąć skrzydła.

To właśnie informacje profesora pozwoliły wykorzystać „rewolucję goździków” w Portugalii i położyć mocno łapę na Angoli i Mozambiku.

Oczywiście zdarzały się pomyłki. Nie trafiona prognoza dotycząca Chile kosztowała życie prezydenta Aliende.

Zresztą Andropow miał pewne trudności z szerszym wykorzystaniem rewelacji Liwszyca. Przecież nikt z kierownictwa KPZR nie wiedział o placówce. Nie wiedziało o niej również Prezydium Państwowego Komitetu. Raporty Liwszyca ukrywano w ekspertyzach Wydziału Prognoz i Strategii, którego siedzibą była podmoskiewska Bałaszycha.

* * *

Okazy siedziały w swoich klęczkach na ogół spokojnie. Jedynie Carlos Rodriguez, uprowadzony przez KGB w grudniu 1976 roku jasnowidz z Meksyku, miał skrępowane ręce i wył kołysząc się w miejscu. Trapiiony wizjami katastrof i tragedii po raz trzeci usiłował popełnić samobójstwo. Reszta odpoczywała.

I Tania Zwiagina, która postrzegała aurę śmierci wokół ludzi na rok przed ich zgonem, i porwany z Kampuczy mnich buddyjski, zdolny na fotografii ulicy wskazać miejsce, gdzie za parę dni zdarzy się wypadek, i analfabeta Papuas, który w amoku ciceroniowską łaciną deklamował wiersze o treści apokaliptycznej.

Liwszyc opracował dla swoich jasnowidzów skuteczne metody wzmacniania zdolności antycypacyjnych. Jego podopieczni na co dzień prowadzili beztrudne życie „pacjentów specjalnych” — byli dobrze odżywiani, mieli swoje rozrywki i tylko co pewien czas poddawano ich eksperymentom stymulującym. Stres i nagły szok, sytuacje zagrożenia i emocji, uderzeniowe dawki środków uspokajających i podniecających. Barbiturany i halucynogeny, skopolamina, wyciągi hormonalne, amfetamina, grzybki tybetańskie, elektryczne impulsy...

Dzień i noc maszyny notowały encefalogramy jasnowidzów. Pielęgniarki spisywały ich zeznania i majaczenia.

„Twarda stymulacja” dotyczyła oczywiście tylko grupy nawiedzonych. Poza nimi dla Liwszyca pracowało kilkudziesięciu wizjonerów, telepatów i astrologów „półwolnościowych”, zamieszkujących sektor C. Zaś ich rojenia, wróżby, przecucia i wizje uzupełniały jeszcze codzienne raporty agentów–psychiatrów, zajmujących się ludźmi antycypacyjnie wrażliwymi, a żyjącymi na razie swobodnie na rozległym obszarze od Władystoku do Kaliningradu.

Przed trzema laty Liwszyc dokonał odkrycia informatycznego cedzaka. Dopracował się syntezy metod korekt i weryfikacji. Odpowiednie programy komputerowe potrafiły analizować mistyczny bełkot, konfrontować sprzeczne z sobą rojenia i wyciągać z nich precyzyjnie racjonalne jądro.

Następnym etapem weryfikacji było przepuszczanie otrzymanych danych przez filtr prognoz wieloletnich — politycznych i ekonomicznych, a następnie umieszczanie rezultatów na siatce czasoprzestrzennej.

W styczniu 1976 roku podczas spotkania z Andropowem Liwszyc zaproponował realizację programu prognoz wieloletnich.

— Czyżby Towarzysz profesor był w stanie podać termin końca świata? — zaśmiał się Jurij Andropow.

— Jeśli nastąpi to w ciągu 10–20 lat, sądzę, że mógłbym... Jeśli idzie o dalszą przyszłość następuje zmatowienie danych. Gubi się ich ostrość, mnoży wariantowość.

Przewodniczący Komitetu Bezpieczeństwa Związku zamówił prognozę piętnastoletnią. Jak najbardziej precyzyjną

— To mogę zagwarantować. Nie wiem tylko, czy będzie pomyślna — rzekł profesor.
I wykonał zadanie.

* * *

Na szczupłym czole Andropowa pojawiły się krople potu. Przebiegł wzrokiem kolejną kartkę. Smirnow śmiertelnie blady czuł się jak skazaniec w celi śmierci.

— Nie do wiary, po prostu nie do wiary — mruzczał oberżandarm świata. — Czy wy w to wierzycie, Nikołaju Aleksiejewiczu?

— Jest to tylko prognoza. Liwshyc mówił o 67 procentach prawdopodobieństwa, może sześćdziesięciu ośmiu!

Andropow cisnął maszynopis na podłogę.

— Nawet gdyby prawdopodobieństwo wynosiło tylko 10 procent, perspektywa byłaby przerażająca. Gorzej, że wszystko, co tu czytam, posiada spójną, wewnętrzną logikę. Chociaż naprawdę trudno uwierzyć, że Leonid Ilicz pociągnie jeszcze pięć lat i wpadnie na pomysł, żeby uderzyć na Afganistan, że Amerykanie zamiast tego mięczaka Cartera zafundują sobie bojowego aktora, który dociśnie nas programem „Kosmicznych potyczek”... Że Polacy zbuntują się i odrzucą komunizm stając się detonatorem zmian na miarę świata. A ten mały — tu podniósł z ziemi raport — mój protegowany Michaił ze Stawropola...? — On miałby być grabarzem Związku, przyzwolić na zjednoczenie Niemiec, rozpad Bloku?

— Sam też przegra!

— Niewielka pociecha. I wszystko miałyby zacząć się już za pół roku wyborem Polaka na papieża...? — Gdzie jest ten Liwshyc?

Smirnow nacisnął przycisk interkomu. Zgłosiła się Lena.

— Jest Ilia Dawidowicz?

— Towarzysz profesor czeka od pięciu minut.

— Niech wejdzie.

Futurolog był wyraźnie podniecony. Na jego żółtawych policzkach pojawił się nie widywany od dawna rumieniec. Czyżby spodziewał się pochwał? Andropow w milczeniu uścisnął mu rękę. Wskazał gestem, by usiadł. Potem spytał:

— Ile osób zna cały raport?

— Tylko my trzech obecni.

— Kto przepisywał materiał?

— To jest wydruk z komputera. Obsługiwał go mój asystent, Pietia.

— Nazwisko, wiek, stopień służbowy — przerwał Przewodniczący ze sprawnością śledczego.

— Starszy lejtnant KGB Piotr Lebediew, specjalista cybernetyk, lat dwadzieścia osiem, członek KPZR, po studiach w Moskwie, Berlinie i Wrocławiu — profesor recytował jakby sam był elektroniczną maszyną

— Wrocławiu? — Andropow zmarszczył brwi.

— Mieli tam dobry ośrodek cywilnej cybernetyki. Ale jeśli chodzi towarzyszowi o morale Lebediewa, to jest bez zarzutu. Podobnie jego oddanie sprawie...

— Rodzina?

— Ojciec, pułkownik lotnictwa Matwiej Lebediew, poległ w 1951 roku, podczas internacjonalistycznej służby w Korei. Matka, Kristina, aż do śmierci była sekretarzem obwodowym Związków Zawodowych, naszym współpracownikiem.

— Żonaty?

— Nie, to typ komputerowego fanatyka, odludka.

Informacje wyraźnie uspokoiły Przewodniczącego. Zmienił temat.

— Czy gwarantujecie profesorze rzetelność prognozy?

— Nie prognozowaliśmy dotąd jeszcze tak długoterminowo. Stąd pewna asekuracja. Na moje wyczaczenie prawdopodobieństwo sięga aż 80 procent. Dane wielokrotnie korygowaliśmy. Prowadziliśmy też ponowne badania. Porównywałem z sobą różne wizje. Nie chce wyjść inaczej.

Andropow nalał sobie koniaku i wychylił pełny kieliszek duszkiem.

— A co z czynnikiem przypadku? Postawiliście horoskop, podaliście daty z dokładnością tygodni lub miesięcy i twierdzicie, że jakiś czarnoroboczy cymbał z Gdańska będzie za piętnaście lat prezydentem niepodległej, kapitalistycznej Polski... A przecież jutro może skrócić kark? Chociaż ortodoksyjni marksyści uważali, że rola jednostek w historii jest znikoma, ja jednak przypuszczam, że gdyby Napoleon poległ na moście Arcole, a Hitler zginął w Kętrzynie losy świata mogłyby potoczyć się zgoła inaczej.

— Zapewne — Liwzyc chciał poskrobać się po brodzie, ale zapanował nad sobą — prognoza mogłaby zostać przekreślona, gdyby uległy zmianie personalne zwrotniki deterministyczne. I to nie jeden, ale wszystkie podstawowe.

— Może pan wyrażać się jaśniej? Czy mam rozumieć, że gdyby Leonid Breżniew żył krócej, Polak nie został papieżem, Cartera wybrano by na drugą kadencję, a ten bezrobotny z Gdańska nie zapisał się do dysydenckiego kółka, to nasze imperium pozostałoby niezachwiane?

— To należałoby zbadać. Ale na pewno miałyby większe szansę.

Jurij Andropow wstał. Przeszedł się po gabinecie. Znowu przez chwilę wpatrywał się w mapę.

— Ile czasu zajęłoby wam przygotowanie planu korektury?

— Słucham?

— Wytypowanie do eliminacji wszystkich istotnych zworników oraz przeanalizowanie następstw...?

— Sądzę, że po miesiącu mogłaby powstać wstępna ekspertyza.

Przewodniczący uśmiechnął się. Po raz pierwszy tego wieczora.

— Daję wam dwa tygodnie, profesorze. I mam nadzieję, że nas nie zawiedziecie.

Liwzyc spuścił oczy niczym zasromana panienka.

— Nie będę tał, że samodzielnie zacząłem już badania nad możliwościami korekty — rzekł.

— Teraz zostawcie mnie samego — mruknął Andropow. — Jeszcze raz przeczytam tę prognozę. Potem ją zaszyfrujecie. Nikt nie ma prawa w tym stanie wynieść jej poza obiekt. Nawet ja.

Profesor i generał wycofali się na palcach.

II

Od paru dni nie padał śnieg. Listonosz bez większego trudu odnalazł leżące na uboczu domostwo. Pracował w tym rejonie od trzech lat i nie przypominał sobie, żeby kiedykolwiek dostarczano jakakolwiek przesyłkę do tego domu. Wszyscy okoliczni mieszkańcy prenumerowali gazety, dostawali kartki „Z nowym godom”, przesyłki pieniężne, wezwania służbowe, nie mówiąc o zwykłych listach, nikt jednak nie interesował się domem numer 27, a i lokatorzy domu 27 nie wykazywali zainteresowania światem. Inna sprawa, że stary domek, pamiętający jeszcze przedrewolucyjnych zesłańców, w ogóle wyglądał na nie zamieszkały.

Tego dnia jedynym dowodem życia była cienka smuga dymu i odgłos rąbania drewna dochodzący spoza domu. Listonosz przeszedł ruiny furtki, okrążył budynek...

Ogromny mężczyzna o aparycji Rasputina potężnymi ciosami siekiery przepoławiał sosnowe szczapy. Chyba bardziej poczuł niż zauważył obecność intruza. Obrócił się z uniesionym toporem.

- Grażdanin Worobiov? Olbrzym skinął głową
- Jest do was telegrama z Moskwy. Pokwitujcie.

Worobiov podpisał się koślawo i uniósł do oczu skrawek papieru: „Wuj Alosza nie żyje. Pogrzeb w czwartek o dziesiątej. Czekamy na lotnisku. Jura.”

Trudno byłoby dostrzec jakąś emocję pod siwymi strąkami. Listonosz już chciał zawrócić, ale Worobiov pogmerał w spodniach i wcisnął doręczycielowi rubla.

- Spasiba!

Odczekał chwilę, aż listonosz zniknie z pola widzenia i wszedł do chałupy. W kuchni uniósł wychodzone podłogowe dechy i wyjął spod nich węzełek z dokumentami, potem plastikowy worek pełen ubrań. Później podważył jeden z kafli w piecu. Wyciągnął ze środka uniwersalny nóż, podręczny wielostrzałowy pistolet produkcji belgijskiej i śmiernicę uzi. Po kwadransie był spakowany. Musiał się spieszyć. Pociąg do Irkucka odjeżdżał za dwie godziny, a do stacji było kawał drogi.

Na lotnisku w Irkucku parokrotnie sprawdzał, czy jest obserwowany. Nie był. Skręcił do toalety. W kabinie wyciągnął lusterko. Kilkunastoma pociągnięciami brzytwy zgolił brodę i wąsy. Potem nożyczkami obciął większość rasputinowskiej grzywy. Z bagażu wydobyl nie rzucający się w oczy garnitur z gatunku „kostium niższego urzędnika”. W dokumentach wyszukał dowód na nazwisko Antonow i przełożył go do kieszeni marynarki. Potem w oczekiwaniu na samolot poszedł do fryzjera. Wyszedł pachnąc odekołonom. Nikt go nie śledził.

Biletów oczywiście nie było, ale Antonow miał swoje sposoby. Krótka wizyta u szefa kasy poparta legitymacją pracownika Ministerstwa Spraw Wewnętrznych sprawiła, że znalazło się doskonale miejsce przy oknie.

Oczywiście, gdyby naczelnik chciał sprawdzić, czy Siergiej Antonow jest rzeczywiście funkcjonariuszem, mogłyby powstać kłopoty. Prawdziwy Siergiej Antonow zginął przed dziewięciu laty wypełniając zadanie partii w Wietnamie. Miał jednak przewagę nad Mikołajem Worobiozem — ten bowiem zmarł na zakaźną żółtaczkę w wieku zaledwie trzech lat. Ale naczelnik otrzymał za pośpiech i dobre miejsce pięćdziesiąt ciepłych rubli i nie miał najmniejszego powodu sprawdzać personaliów swojego dobroczyńcy.

Samolot wylądował w Moskwie z dwugodzinnym opóźnieniem. Ale i tak na godzinę przed wyznaczonym terminem spotkania. Worobiov–Antonow posilił się, przejrzał Prawdę i umył się w toalecie.

Gdy wyszedł z budynku, natychmiast podjechał samochód — czarna wołga. Otworzyły się drzwiczki. Wsiadł. Kierowca nacisnął gaz. Worobiov–Antonow z nawyku rzucił okiem na

tylne lusterko. Nikt za nimi nie jechał. Po godzinie znaleźli się przed odrapaną kamienicą z czasów przed rewolucyjnych.

— Mieszkania 43, VII piętro — powiedział kierowca i dał mu klucze. Było to jedyne zdanie, jakie między nimi padło.

Dwupokojowy apartament robił wrażenie pokoju hotelowego. Łóżko, szafa, stół, żadnych książek. Worobiov wszedł do środka, zapalił światło. Sprawdził, czy okna są zasłonięte. Potem otworzył szafę. W lewym dolnym rogu wymacał gwóźdź, przekreślił go, pociągnął do siebie i wepchnął. Mechanizm drgnął. Tylne drzwi szafy rozsunęła się ukazując krótki korytarz. Po paru krokach „Sybirak” znalazł się w zupełnie innym, choć równie skromnym pomieszczeniu. Przy stole siedział człowiek, którego spodziewał się tam spotkać. Superżandarm Imperium — Jurij Andropow.

— Witaj Wasylu Mironowiczu.

— Cześć, Jura. Nareszcie sobie o mnie przypomniałeś. Rozumiem, że czeka mnie jakaś ciekawa robota?

Chyba był jedynym, który śmiał mówić do Andropowa po imieniu.

Słaby uśmiech pojawił się na wąskich wargach Przewodniczącego.

— Herbaty? — wskazał na dymiący samowar. — Tak, masz rację. Jesteś mi potrzebny, towarzyszu Łunienko.

Łunienko! Póki żył był zgodnie uznawany za najniebezpieczniejszego człowieka od mokrej roboty po lewej stronie żelaznej kurtyny.

Wasyl Łunienko — zaczynał swą karierę jako ochroniarz ambasadora Andropowa w dniach rewolucji węgierskiej. Kiedy jego szef trafił w ręce zrewoltowanych robotników z Csepel i stał już pod murem. Sam, gołymi rękoma zabił dwóch powstańców, a po zabranii im broni rozprawił się z resztą. Jura potrafił być wdzięczny. Łunienko dostał odpowiedzialną funkcję w SMERSZ-u i w latach sześćdziesiątych likwidował zdrajców, którzy próbowali dezertować z KGB lub GRU. Odegrał też znaczącą rolę w czasie inwazji na Czechosłowację. I wreszcie — ku uldze Mosadu, CIA i Intelligence Service — zginął w katastrofie małego wojskowego samolotu, który rozbił się na Kaukazie w siedemdziesiątym trzecim roku. Odznaczony pośmiertnie orderem Czerwonej Gwiazdy, spoczął na cmentarzu Nowodziewiczym, niedaleko grobu pochowanego tam dwa lata wcześniej Mikołaja Siergiejewicza Chruszczowa.

Aliści różnica między pierwszym sekretarzem a pierwszym zabójcą była znaczna. Łunienko, niczym baśniowy upiór, żył dalej. Odesłany na daleką Syberię, ze zmienioną tożsamością, żył i czekał chwili, kiedy będzie potrzebny Andropowowi. Że taki czas nadejdzie, obaj nie mieli wątpliwości.

— Powiedzmy, że należałoby przeprowadzić pewną akcję... — zagadnął Jurij Andropow.

— W kraju?

— Nie tylko. W paru krajach. Trzeba umiejętnie wyeliminować kilka osób.

— To nie jest problem.

— Chodzi o parę prominentnych osób. I musiałbyś działać bez wsparcia naszych sił. Zgony powinny wyglądać na nieszczęśliwe wypadki, działanie wariatów... albo praw natury.

— Bez współdziałania służb?

— I bez ich wiedzy! Musiałbyś „poodmrażać” swoje stare kontakty. Wynająć ludzi nie związanych z żadną siatką.

— Wszystko jest kwestią pieniędzy i czasu.

— Tu masz pieniądze. — Przewodniczący położył na biurku teczkę. — Czasu pewnie nie będzie za wiele. Ale za parę dni dostarczymy ci dokumenty, paszporty...

— Nie potrzebuję dokumentów z waszej fabryki. Załatwię je moimi kanałami skoro nikt nie ma wiedzieć o akcji. Potem zrobię mały rajd po świecie, zorientuję się co do paru „spiochów”, o których nic nie wie centrala. Zobaczę na kogo można liczyć.

— Spotkamy się więc za dwa tygodnie. Za dwa tygodnie dostaniesz listę. A teraz napij się herbaty i poopowiadaj, jak ci się żyło jako Sybirakowi?

* * *

Pracowali dzień i noc. Liwshyc nie oszczędzał ani siebie, ani innych. Lebediew ledwie patrzył na oczy. Jego najbliższy współpracownik Rożkow schudł pięć kilo. Tymczasem profesor działał jak w transie.

— Jesteście pewni, że to się uda? — spytał któregoś dnia Piotr Matwiejewicz.

— Musi, Pietia... Musi, jeśli chcemy, żeby przetrwał Związek Radziecki i idea komunizmu.

— Ale jaka straszna będzie cena?

— Całkiem niewielka. Osiem czy dziesięć osób wyeliminowanych prawie bezboleśnie.

— Z prognoz wynika, że byłby to dopiero początek. Jedna korektura może wymagać następnych.

— Nie wolno nam być miękkimi, Pietia. Wyobraź sobie biologa płaczącego nad każdą laboratoryjną myszką.

— Ale to nie będą myszki, Ilio Dawidowiczu, tylko ludzie, narody, społeczeństwa...

— Zawsze są jakieś koszty. Ale może warto je zapłacić, jeśli finałem ma być zjednoczony świat bez wojen, świat równych i wolnych ludzi. Wrażliwych humanistów i reformatorów. Nasz świat.

Lebediew przymknął oczy i przesunęła mu się fala obrazów: czołgi z czerwonymi gwiazdami na Polach Elizejskich, gułag poszerzony o mokradła Florydy i tundrę Alaski. Zobaczył paradę pionierów maszerujących całą szerokością Piątej Alei i czerwoną flagę powiewającą nad zniczem Statuy Wolności.

— Piętnaście lat, Pietia! Piętnaście decydujących lat.

— Panie profesorze, mamy wydruki kolejnych serii — z głębi komputerowni dobiegł głos Rożkova. — Są zestawienia prawdopodobnych reakcji na pokojową propozycję Pierwszego Sekretarza ogłoszoną podczas uroczystości zamknięcia Olimpiady w Moskwie w osiemdziesiątym roku, zaraz po wygraniu jej przez ekipę amerykańską.

— Idę do ciebie!

Lebediew nalewa sobie kawy. Jest zmęczony. Unosząc kubek widzi, że trzęsą mu się ręce. Wysilek, nerwy...

Od czasu rozpoczęcia pracy nad „Korekturą” nastrój w zespole się zmienił. Wyłączono zewnętrzne telefony, zniesiono przepustki. Z wyjątkiem Liwshyca pracownikom sektora A nie wolno kontaktować się z funkcjonariuszami innych stref. Lebediew musiał odwołać swój udział w okręgowych rozgrywkach szachowych funkcjonariuszy KGB.

— Cholerna robota! — Czuł, że jest na pograniczu załamania nerwowego. Nie on jeden.

Ostatniej nocy doszło w bazie do tragedii. Szofer Smirnowa, od dłuższego czasu romansujący z szyfrantką ze strefy C, usiłował przeleźć do niej przez dach, jak za dawnych normalnych czasów. Zastrzelono go bez uprzedzenia.

Lebediew sięgnął po następną porcję materiałów. Kolejne wydruki dotyczyły ewentualnych zagrożeń samego programu. Przeglądał stronę za stroną Nagle drgnął. Wśród elementów szczególnie zagrażających realizacji planu jeden znajdował się u szczytu. Było to nazwisko — Piotr Matwiejewicz Lebediew. Jego nazwisko... Włączył kasowanie.

* * *

Jakże inny był nastrój Jurija Andropowa, gdy zapoznawał się z programem „Korektura”. Kamień spadł mu z serca.

Jesienią 1978 roku kolegium kardynalskie miało wybrać na papieża reformatorsko nastawionego Włocha, gotowego na dalekie ustępstwa Kościoła w sprawie kontroli urodzin, celibatu i kapłaństwa kobiet. W następnym roku, po nagłej śmierci Leonida Breżniewa, miał nastąpić wybór Jurija Andropowa na stanowisko Sekretarza Generalnego i koniec epoki zastoju. W 1980 roku prezydentem USA na drugą kadencję zostanie wybrany Carter. Prezydent pozbawiony doradztwa profesora Brzezińskiego (który półtora roku wcześniej zginie w wypadku samochodowym) ze zrozumieniem odniesie się do pokojowej inicjatywy ZSRR zgłoszonej przy okazji zamknięcia Igrzysk Olimpijskich w Moskwie. Andropow zaoferuje wycofanie broni jądrowej z NRD i rozpocznie rozmowy pokojowe w sprawie zjednoczenia Niemiec. To zaowocuje równie pięknym gestem ze strony Cartera — wycofaniem pershingów z Europy.

Licytacja potoczy się dalej.

Na Święto Dziękczynienia 1981 roku agenci KGB dokonają zamachu na Fidela Castro. Jego brat Raul, dzięki delikatnej zachęce radzieckich doradców, nawiąże kontakty z amerykańską administracją. Ogłosi termin wolnych wyborów na wyspie. Amerykanie ze swej strony rozpoczną wycofywanie wojsk z Europy.

Tymczasem wybuch Kryzysu Bliskowschodniego w 1982 roku przerzuci zainteresowania polityczne na inną część świata. Szacha zmiecie rewolucja lewicowych mudżahidinów z Tudehu. W Arabii Saudyjskiej zwycięży frakcja fundamentalistycznego bratanka króla. Rychło zjednoczony front antyimperialistyczny Bliskiego Wschodu podniesie z wiosną 1983 roku pięciokrotnie ceny ropy naftowej. Świat pogrąży się w kryzysie. Całą Europą Zachodnią wstrząśnie fala zamieszek. Ulice RFN staną się polami bitew z lewicowymi terrorystami. Po wyborach majowych we Francji komuniści zdobędą kontrolę nad rządem. W czerwcu 1983 roku zwyciężą również we Włoszech.

Latem 1984 roku (roku nie spełnionych wróżb Orwella i Amalryka) w obliczu zagrożenia pravicowymi zamachami stanu siły Armii Czerwonej przekroczą Łabę, Dunaj i Alpy. Ameryka zajęta Zatoką Perską ograniczy się jedynie do protestów.

Nieprawdopodobne zasoby Zachodu stanowiąc będą paliwo Wielkiej Modernizacji ZSRR — Kraju Rad poszerzonego o nowe autonomiczne republiki: Węgierską ASSR, Czechosłowacką ASRR, Rumuńską ASRR, Bułgarską ASRR i Polski Obwód Autonomiczny pod nazwą Republika Przywiślańska.

(Tu Przewodniczący Andropow aż klepnął się po udach).

Modernizacji miała oczywiście towarzyszyć wzmożona dyscyplina, wymiana kadr, czystki... Komputerowy stalinizm.

Już w siedem lat później powinien rozegrać się dramat akt następny. Wulkan dobrze skoordynowanych zamieszek wybuchnie w Stanach Zjednoczonych. W ogniu staną dzielnice murzyńskie wielkich miast, latynosi z Kalifornii zażądają zjednoczenia z Meksykiem. Kolejny prezydent USA, wygadany homoseksualista z Oklahomy, okaże się kryptomarksistą, tak że wkrótce faktyczną pełnię władzy w Unii Socjalistycznych Stanów Ameryki (USSA) przejmie ambasador ZSRR w Waszyngtonie, stary przyjaciel Andropowa, od 1978 roku przebywający przezornie w cieniu, Michaił Gorbaczow...

— Tak będzie — zaciera ręce Liwyszyc.

— Tak musi być! — kiwa głową z głębokim przekonaniem generał Smirnow.

— Zatem pozostaje jedynie lista zworników do wymiany.

Liwszyc ma twarz promienną jak prowadzący teleturniej, który wręcza uczestnikowi zestaw pytań za najwyższą stawkę.

Przewodniczący przebiega wzrokiem wykaz nazwisk.

— Arcybiskup Krakowa — kardynał Karol Wojtyła... tak, to naturalne, senator z Kalifornii — Ronald Reagan...?

— W jego przypadku całkowita eliminacja nie jest konieczna — wtrąca Smirnow. — Byłaby nawet niewskazana, zwłaszcza w trakcie kampanii wyborczej. Ale jakiś wylew do mózgu, częściowy paraliż... Coś, co uniemożliwiłoby kandydowanie w wyborach i zwycięstwo nad Carterem.

— Na wszelki wypadek, w kraksie samochodowej zginie również doradca Cartera do spraw bezpieczeństwa, prof. Zbigniew Brzeziński — dorzuca Liwszyc.

— Słusznie — zgadza się Przewodniczący i dalej studiuje listę. — Imam Chomeini, Margaret Thatcher, a co to za nazwisko, Waleza...?

— Robotnik z Gdańska, aktualnie bezrobotny. W bardzo wielu horoskopach i jasnowiedzeniach ma odegrać kluczową rolę w Polskiej Rewolucji 1980–1989...

— Polacy to tacy słowiańscy Żydzi — wydyma usta Smirnow — i zauważając grymas u Liwszyca dorzuca pośpiesznie — nie chciałem pana urazić, profesorze.

— Po pierwsze czuję się komunistą — stwierdza sucho Ilia Dawidowicz. I podaje drugą kartkę, tak żeby nie mógł na nią spojrzeć Smirnow.

Brwi Andropowa unoszą się do góry, ponieważ numerami siedem i osiem są Leonid Breżniew i Michaił Susłow, aktualni władcy Kraju Rad.

— Rozumiem — mówi. I ku żalowi Smirnowa chowa kartkę do kieszeni.

— Tu jest szczegółowe omówienie potrzeb, zagrożeń i skutków — Liwszyc wręcza pękata teczkę.

— Dobrze, przeczytam jeszcze dziś — stwierdza Andropow, a gdy mężczyźni zmierzają ku wyjściu, zatrzymuje wzrokiem Liwszyca.

— Jeszcze jedno, profesorze. Czy zrobiliście również prognozy dla akcji „Korektura”?

— Naturalnie, 80 procent szans!

— A zagrożenia?

— Minimalne zbiegi okoliczności, ludzkie błędy. Będziemy nad tym pracowali.

— A sprawdziliście, czy nie kryje się jakieś zagrożenie tu, wewnątrz?

— Sprawdziałem parokrotnie — uśmiecha się Liwszyc. — W żadnej prognozie nie zauważyłem żadnego niebezpieczeństwa, które wynosiłoby więcej niż 1 procent.

Andropow jest już spokojny, odprężony. Zastanawia się, jaką minę zrobi jutro Łunienko, gdy zapozna się z listą „klientów”.

— Kontrakt wszechczasów — mówi do siebie.

III

Najwcześniejsze wspomnienia, obrazy, zapachy, słowa... Portret ojca w mundurze lotnika. Wiecznie podniesiony głos matki... Drzewa owocowe w ogródku babci, równo maszerujące oddziały pionierów...

Piotr Lebediew, mimo swoich dwudziestu ośmiu lat, wielokrotnie zastanawiał się, kim jest? Syn socjalistycznych bohaterów, prymus w szkole, wyróżniający się student, skierowany przez partię do odpowiedzialnej służby w KGB.

Ojca właściwie nie znał — tylko czasem wspomnienie wąsów i woń fajkowego tytoniu mieszały się z obrazem zarejestrowanym na zdjęciach. Co było pamięcią a co wyobraźnią? Pietia miał niecałe dwa lata, kiedy ojciec został strącony nad Koreą. Jako lotnik wchodził w skład internacjonalistycznego, tajnego kontyngentu. Zginął udając Koreańczyka.

Matka nigdy nie miała dla chłopca wiele czasu. Ambitna, przebojowa, szybko wspinała się po szczeblach kariery zawodowo-partyjnej. Lebediew wychowywał się — jak większość jego rówieśników — w szkole, na ulicy i w organizacji. Odmianę przynosiły jedynie wakacje u babci w Kazachstanie. Babcia, nie wiadomo dlaczego, nazywana przez starych ludzi z okolicy „grafinia”, była zupełnie inna niż większość starych ludzi znanych Piotrowi. Ciężka praca fizyczna nie zmieniła ani jej sylwetki, ani bystrego spojrzenia oczu, w których próżno szukałbyś dalekowschodniej nostalgii czy właściwego niewolnikom bezmyślnego pogodzenia się z losem.

Babcia potrafiła znakomicie opowiadać bajki — o królewnach, krasnoludkach, rycerzach pełnych honoru i poświęcenia. I były to historie inne niż przygody Timura i jego drużyny. Z tym że wtedy Piotr tego jeszcze nie zauważał.

Matka Piotra nie przepadała za swoją rodzicielką. Może odczuwała jej obecność jak wyrzut sumienia. Zresztą najgłupsza nawet dobranocka telewizyjna uczyła nieufności do ludzi starych, wstecznych, złośliwych...

Świat skomplikował się, gdy Pietia ukończył dwanaście lat. Przeżył pierwszy poryw uczucia do Wiery, koleżanki z sąsiedniej klasy.

A pewnego dnia, w sześćdziesiątym drugim, matka wróciwszy do domu wcześniej niż zwykle, zamknęła się w pokoju i płakała. Po paru dniach przyjechała babcia. W rozmowach obu kobiet coraz częściej powtarzały się słowa — naświetlanie, operacja...

Kristina Lebediewa umierała na raka przez półtora roku.

Piotr zapamiętał tę noc, kiedy nieuchronność śmierci dotarła do jego świadomości.

Babcia zajrzała do pokoju, aby skłonić chłopca do skończenia lektury i zgasić światło.

— Babciu?... Czy mama umrze? — zapytał. Odpowiedzią była cisza. Znacząca cisza.

— Czy nie można czegoś zrobić? Pomóc? Ja muszę... Tak się nie może stać!... Powiedz!

— Nikt jej nie może pomóc, tylko Bóg! — odpowiedziała.

Mały Lebediew nigdy dotąd nie myślało Bogu. Znał go ze słyszenia i traktował jako kłopotliwy przeżytek przeszłości.

— Przecież Boga nie ma! — wybuchnął. — A jeśli by nawet był, to jak mógłby nam pomóc? Jak mielibyśmy go o to poprosić?

Babcia Zofia klękła obok łóżka. Złożyła ręce. Nigdy jeszcze nie widział tak blisko modlącego się człowieka. Wyszedł z pościeli. Niezdarnie powtórzył gest — „W imię Ojca i Syna”...

Potem zaczęli rozmawiać. Przez ponad rok rozmawiali późnymi wieczorami i rano przed szkołą. Rozmowa i modlitwa przynosiły ulgę. Babcia otwierała przed młodym komsomolcem świat, którego istnienia nie podejrzewał. Był jednak wystarczająco rozsądny, aby nie dzielić się swoim odkryciem z najbliższymi kolegami.

— Kim ty właściwie jesteś, babciu? Jesteś inna niż wszyscy?

— Jestem Polką.

Zofia Biernaacka, szlachecianka z kresowego zaścianka, znalazła się w Rosji w 1920 roku. Jej rodzice, narzeczony, wszyscy zginęli. Ją podczas ofensywy bolszewickiej ocalał dowódca oddziału. Była jego zdobyczą wojenną. Na swój sposób fascynowała go. Gdy został ranny, razem z nim odesłano ją na tyły. W rodzinnej wsi „zdobywcy” poznała Igora, jego brata, a gdy Komandir zmarł, została żoną swego nowego opiekuna. Był to uczciwy, prosty człowiek nie mieszający się do polityki. Całe życie przeżył w syberyjskiej głuszy. Nie zamierzał ani awansować, ani walczyć z systemem. W czterdziestych latach przenieśli się do Kazachstanu. Zofia rodziła mu dzieci, patrzyła, jak rosną i są wchłaniane przez system. Ale milczała. Przeżycia, które przeorały jej duszę wiosną 1920 roku, opancerzyły ją i nauczyły ostrożności. Dopiero wnuczek Piotruś...

Kiedy matka zmarła, mały Lebediew trafił do internatu. Babcię widywał tylko podczas wakacji. Swoje pochodzenie i wiarę, która zresztą tliła się w jego sercu bardzo słabym płomykiem, starannie ukrywał. Kolejnym ważnym momentem w życiu obecnego starszego lejtnanta był okres tuż po studiach. Po praktyce w Lipsku miał do wyboru roczny staż w Budapeszcie lub Wrocławiu. Wybrał Wrocław.

I tak odkrył Polskę, wesołą Polskę wczesnych lat siedemdziesiątych. Pełną radosnych studentów i dorabiających się obywateli. Piotr studiował, uczył się języka. Choć kontrolowany potrafił zawierać znajomości nie narażając się na podejrzenia. Polacy, nawet ci, którzy deklarowali się jako komuniści, byli zupełnie inni niż znani mu ludzie radzieccy. Traktowali system jako konieczne zło i jeśli dostosowywali się do niego, to nie robili tego ani z przekonaniem, ani z przyjemnością.

Lebediew każdą wolną chwilę wykorzystywał, aby zwiedzać Polskę. Był przez parę dni na „Famie”, studenckim festiwalu w Świnoujściu, gdzie ze zdumieniem słuchał tekstów studenckich teatrzyków kpiących z cenzury i partyjnych autorytetów. Szczególnie zapamiętał jedną pieśń. Szczupła dziewczyna śpiewała dramatycznie *Cichy przebój*:

Nie pieśni ku czci śmiałych,
nie strofek o miłości,
nauczmy się kochani,
pieśni milczącej większości.

Co rozbrzmiewała na placach,
gdzie krzyżowano proroków,
pieśni pięknej jak praca,
świętej, jak święty spokój.

Pieśni która ma canto,
oraz refren z milczenia,
pieśni która jest prawdą
co bardzo rzadko się zmienia (...)

Milczenie wspiera imperia,
bardziej twórczo niż pean,
milczenie jakże jest wierne,
gdy przyjdą czasy mówienia (...)

To był inny kraj, inny świat. Świat jego przodków, o których opowiadała babcia — rycerzy z kresowych stanic, pogromców napastników ze wschodu, zachodu i południa, obrońców łańskiejszej cywilizacji i europejskiego indywidualizmu.

Niezwykłych wzruszeń doznał w Częstochowie. Jego koledzy nazwaliby te tłumy niedomytych pątników średniowieczną dziczą, a on? Przy dźwiękach trąb odsłaniał się obraz Dobrej Pani, tak podobnej do bizantyjskich ikon i tak odmiennej...

A Katedra na Wawelu? W mroźny zimowy dzień krążył po prawie pustych nawach, między królewskimi grobami, kaplicami, I pytał siebie: kim jesteś? Co tu robisz rosyjski wędrowcze?

Jesienią 1972 roku przeczytał Konrada Wallenroda. Bohater mu się podobał, ale nie zamierzał go naśladować. Teraz fascynowały go komputery. Przyjął pracę w MSW, ponieważ był tam święty spokój, ponieważ tam płacono najlepiej, ponieważ generał Smirnow był przyjacielem (a może kiedyś nawet kochankiem) jego matki i nie wypadało odmawiać.

W tym czasie umarła babcia...

Marzenia o konwergencji, o normalnym świecie wolnych ludzi i codzienna służba dla Imperium funkcjonowały w umyśle Piotra dwutorowo. Przecież nie mógł nic zrobić. A więc marzył nocami, a w ciągu dnia programował. I bawił się pracą

Dzień, w którym zaczęła kształtować się prognoza Liwszyca, był kolejnym przewrotem w jego życiu. Pojawiła się szansa. Z wydruków wynikało jasno, że czas pogrzebu „Imperium zła” nadchodził i wystarczyło tylko nie przeszkadzać.

I dlatego do strzału w tył głowy można porównać moment, w którym rozentuzjasmowany Liwszyc poinformował asystenta o podjęciu programu o kryptonimie „Korektura”.

* * *

— Czy Towarzysz profesor nie żąda zbyt wiele? — Andropow skrzywił się tak, jakby musiał pocałować szefa CIA.

— Pracujemy na najczulszej materii, jaka istnieje, na historii — odparował Liwszyc. — Jeden mały błąd, niezgodność w terminach, a rezultaty mogą być odwrotne do zamierzonych.

— A więc życzyście sobie nie tylko informacji o terminach akcji, ale i o sposobie likwidacji „zwoźników”?

— Tylko tak ustalimy najbardziej korzystne sytuacje i wyeliminujemy skutki uboczne. Wyobraźcie sobie, że eliminując profesora Brzezińskiego sprzątniecie przy okazji kogoś, kto po Carterze ma zostać następnym, życzliwym naszym planom prezydentem USA...? Takich przykładów jest wiele. Nasz zabieg można porównać do bardzo precyzyjnej operacji chirurgicznej — nie uszkadzając organizmu delikatnie eliminujemy zrakowaciałe tkanki, by nastąpiło ozdrowienie.

— Piękna metafora. Dobrze, porozmawiam z... wykonawcą.

— Z Wasylem Łunienką? — uśmiecha się Liwszyc.

— Skąd znacie to nazwisko? — podrywa się oberżandarm. — Przecież wszyscy wiedzą, że on nie żyje.

— Ciągłe zapominacie, Towarzyszu Przewodniczący, że ja znam przyszłość.

* * *

Łunienko dotarł do Ośrodka zgodnie z planem. Sprawiał wrażenie człowieka niezwykle z siebie zadowolonego.

— Jest nieźle, Jurij. Udało mi się odnowić parę kontaktów.

— Mam nadzieję, że nie wzbudziłeś zaniepokojenia służb specjalnych Zachodu. Agent wydyma usta.

— Znam się na robocie. Wszyscy, z którymi się spotkałem sądzą, że kręcę jakieś interesy, narkotyki, dziewczynki... Nie kojarzą mnie z naszym wywiadem.

— Będziemy potrzebowali paru ekip lub pojedynczych „cyngli”. Każdy tylko na jedną robotę.

— Oczywiście, a ile jest „obiektów”?

— Dwa w Ameryce, dwa w Polsce, jeden w Anglii, jeden w Iraku, no i dwa u nas.

— Do zrobienia. Pytanie, kto na celowniku?

— Przejdźmy do monitora.

Kilkanaście minut później Łunienko całkowicie zrelaksowany zapala papierosa.

— Ciekawy zestaw — to jego jedyny komentarz. — Tylko mówiłeś mi o ośmiu celach, a pokazałeś sześć.

— Na razie przygotujesz eliminacje tej szóstki. Oczywiście, chciałbym znać szczegóły akcji.

— Szczegóły? — Łunienko jest wyraźnie zaskoczony. — Ja nie pytam ciebie, czemu ma służyć załatwienie tej szóstki? Mam swoje warunki, nikt nie miesza mi się do roboty. Nawet ty. Organizuję wszystko i tylko ja odpowiadam.

— A jeśli to jest absolutny warunek?

— Nie przyjmuję roboty.

— Czy wiesz do kogo mówisz?

Agent uśmiecha się.

— Wiem. Wiem też, że możesz postawić mnie pod ścianą za niesubordynację. Ale nie zrobisz tego. I obaj wiemy, dlaczego. Jestem ci za bardzo potrzebny.

Andropow przetyka ślinę.

— W porządku. Wyłumaczę ci, dlaczego musimy znać wszystkie szczegóły operacji. Po prostu naszym planem jest zmiana przyszłości...

Łunienko wybucha śmiechem.

— I ty, Jurij, najbardziej chłodno rozumujący człowiek na świecie, dajesz się naciągnąć na bajer z wróżbitami!

Szef Rady do Spraw Bezpieczeństwa ZSRR purpurowieje.

— Przeczytaj raport — rzuca sucho i wychodzi. Nie miał zamiaru aż tak głęboko wtajemniczać Łunienki, ale nie było innego wyjścia.

* * *

Lebiediew nie mógł spać. Leżał w swoim pokoju, czy raczej w celi, i wpatrywał się w sufit. Miał uczestniczyć w planie zbrodni. Miał pomagać w zniszczeniu marzeń o demokratycznej Rosji i wolnej Polsce. Każda jego komórka wrzała sprzeciwem. Ale co mógł zrobić? Zabić Liwszyca? Znaleźliby się inni. Uszkodzić komputery? Kopie danych znajdowały się w dobrze zabezpieczonym archiwum. Uciekać? Jeszcze przed paroma miesiącami byłoby to bardzo trudne, teraz — praktycznie niewykonalne.

Mógł, oczywiście, nie uczestniczyć w akcji, zachorować, popełnić samobójstwo, ale to byłoby zwyczajne tchórzostwo.

Ale dlaczego aż w dwóch prognozach (nie mógł zapomnieć skasowanych danych) pojawiło się jego nazwisko jako główne zagrożenie dla „Korektury”? Czy to nie znaczyło, że ma szansę?

Broń osobistą zabrano wszystkim pracownikom. W całym sektorze nie uświadczylbyś materiałów wybuchowych 31ani środków zapalających, przerwano kontakt ze światem. Nikt do nikogo nie mógł mieć zaufania. Bezsens!

W tym czasie, w innej części bunkra, Andropow kończył rozmowę ze swym asem.

— Dobrze, Jurij, dostaniesz te informacje, ale jeśli wpadną one w czyjeś ręce?...

— Nie opuszczą nigdy tego ośrodka, Wasyl.

— Informacja jest jak dym, potrafi przeniknąć wszędzie. Ale niech ci będzie. Zrobimy to. Załatwię ci nawet starego Lońkę i Susłowa...

Andropow sztywnieje.

— Na jakiej podstawie przypuszczasz, że może chodzić o nich?

— Nie jestem tylko głupim „cynglem”, Jura. Przeczytałem raport. Jeśli chcesz odwrócić bieg wydarzeń, to ci dwaj muszą zostać puknięci w pierwszej kolejności. No dobra, powiedzmy, że nic o tym nie wiem...

Przewodniczący nie odpowiada. Wyciąga kalendarz. Ustalają datę następnego spotkania. Łunienko ma uzgodnić szczegóły z Liwszycem. Akcja eliminacyjna powinna jeszcze ruszyć przed wakacjami.

— Czy mogę coś jeszcze dla ciebie zrobić? — kończy przyjaźnie szef.

— Chciałbym się pobawić — prycha agent. — Dawno nie miałem kobiety.

— Tu? — Andropow wydaje się być zaskoczony.

— Podoba mi się ta czarnula od Smirnowa.

— Towarzyszka Fedorowa... Ale co ja mam do tego?

— Wydajcie jej polecenie służbowe. Jestem bardzo nieśmiały wobec kobiet. Nie umiem się zalecać, a płacić nie lubię.

* * *

Trzecia, może czwarta. Sen nadal nie nadchodził. Lebediew wypalił dwie paczki papierosów, rozważył wszystkie możliwości, i za każdym razem zatrzymywał się przed murem niewykonalności.

— Gdybym mógł znaleźć choć jedną osobę, której można zaufać!

Delikatne pukanie do drzwi.

Poderwał się na równe nogi. Nikt jeszcze nie odwiedzał go o tej porze. Otworzył...

— Lena?

Sekretarka Smirnowa wyglądała gorzej niż źle. Rozczochrane włosy, rumieńce na twarzy, usta jak u pramatki Ewy po skosztowaniu jabłka grzechu.

— Można wejść, Pietia?

Wpuścił ją bez słowa. Znał Elenę Fedorowa od paru lat. Lubili się. Kiedyś nawet pocałowali się podczas jakiejś popijawy, ale flirt jakoś się nie rozwinął.

— Czy coś się stało?

Po policzkach funkcjonariuszki płyną łzy.

— Świnie — wykrztusza wreszcie — parszywe świnie!

Lebediew nadal nic nie rozumie.

— Kazali mi, abym „obsłużyła” tego bandziora Łunienkę.

— Ka-za-li?

— To był formalny rozkaz Andropowa. Tak przynajmniej powiedział mi Smirnow. — A to bydlę... Łunienko. Parszywy cham... Jeszcze żeby zachowywał się jak człowiek. Czy wiesz, co on mi robił...? Zwierzę! — Coraz większy szloch wstrząsa dziewczyną. Lebediew przytula ją do siebie.

— A potem śmiał się! Tak, śmiał się! I powiedział mi: „Odpreż się, głupia. I tak, kiedy program będzie załatwiony, wytłuczemy was wszystkich co do nogi”. — Czy oni mogą to zrobić, Piotrze? Piotrze?

Lebediew głaszcze dziewczynę. Jest poruszony, ale gdzieś wewnątrz słyszy ostrzegawczy dzwonek. Czy romantyczna scena nie jest przypadkiem zbyt dobrze wyreżyserowana?

* * *

Kochając się z Leną Piotr czuł się tak, jakby występował w charakterze środka dezynfekującego po Łunience.

Dziewczyna została przez agenta mocno sponiewierana. Lebediew co rusz natrafiał na jakiś siniak lub skaleczenie. Pomimo to zmaltretowana Lena kochała się chętnie, a gwałtowny orgazm świadczył o wyraźnej satysfakcji.

Starszy lejtnant, mocno wyposzczony (od dawna przecież nie wychodził z Ośrodka), spisał się na medal. Jednak czujność nie opuściła go ani na chwilę. A kiedy leżeli obok siebie w ciemności, dwa spocone, z wolna uspokajające się ciała, nie myślał już o dziewczynie.

Głowę zaprzętał mu plan.

Gdyby udało się wydostać z Ośrodka z informacjami dotyczącymi planu Andropowa... Nie musiałyby ich wcale publikować. Chyba sam fakt posiadania wystarczyłby do powstrzymania akcji Łunienki. Ba, ale właśnie wydostanie się z Prognalcentru było najtrudniejsze. Właściwie niemożliwe.

Lebediew, Lena i wszyscy inni pracownicy nie mogli opuścić nawet sektora A, a gdyby im się to nawet udało, czekały ich następne bariery: krąg średni, fortyfikacje zewnętrzne, specjalny pas wokół Ośrodka patrolowany dzień i noc przez jednostki KGB, wreszcie niebagatelna przestrzeń bezdroży, rzadko zaludnionej okolicy, gdzie na dwóch tubylców trzech współpracowało z milicją.

Przedarcie się przez którykolwiek z filtrów, choć teoretycznie możliwe, spowodowałoby natychmiastowy alarm. Gdyby jeszcze akcję przeprowadzało kilku ludzi... Ale Lebediew był sam. Czy mógł komuś zaufać? Lenie?

Od paru dni niezwykle przyjacielsko zaczął odnosić się do starszego lejtnanta Rożkow. Pucolowaty blondynek o niebieskich oczkach cherubina. Piotr nigdy za nim nie przepadał, choć doceniał pracowitość i poczucie humoru kolegi.

Parę razy zdarzyło się im wspólnie popić. Rożkow lubił rozmawiać o dziewczynach, chwalić się swoim powodzeniem. Czasem wyciągał, przemycone nie wiadomo jak, pisma pornograficzne. O polityce nie rozmawiali. Tylko ostatnio, kiedy byli sami, Rożkow podszedł do stanowiska Lebediewa i popatrzawszy koledze długo w oczy zapytał cichym głosem:

— Czy uważasz, że to wszystko ma sens?

Piotr nie odpowiedział wprost, uchylił się stwierdzeniem.

— A co ma sens?

— Boję się, że pakujemy się w jakąś paskudną aferę... Pojawienie się profesora Liwszyca przerwało ten niebezpiecznie zaczynający się dialog.

Ale od krótkiej rozmowy do pełnego zaufania... Lebediew niewiele wiedział o Rożkowie. Młodszy asystent pojawił się w Ośrodku dopiero przed rokiem i nie wyróżniał się niczym szczególnym. Pochodził z Białorusi czy Ukrainy, był podobno rozwiedziony.

Piotr spogląda na przytuloną do niego Lenę, na jej posiniaczone ramię.

Czuje pustkę.

IV

Kolejna podróż Łunienki „w osiem dni dookoła świata przestępczego” przebiegała bardzo precyzyjnie. Jako Mikołaj Worobiov przedostał się do Helsinek, stamtąd z papierami Otto Wissinga odleciał do Genewy. A w dwa dni później spacerował po Time Square na Manhattanie. Teraz nazywał się Lion Blumenbaum i miał „legendę” inwestora z Brazylii zainteresowanego przemysłem filmowym Wschodniego Wybrzeża.

Zatrzymał się przy witrynie McDonald'sa, ale nie zdążył nawet przyjrzeć się reklamie Big Macka, kiedy jak spod ziemi wyrósł drobny, ruchliwy człowieczek.

Wymienili kilka zdań i wsiedli do samochodu.

Człowieczek miał rozległe kontakty i doskonale orientował się w „szlaku bałkańskim”. Blumenbaum interesował się tą „ścieżką”. Oczywiście nie narkotyki były mu w głowie. Myślał o osobniku, który nazywał się Wyłko Iwanów i był kierownikiem produkcji w największej bułgarskiej wytwórni filmowej. Do pensji dorabiał jako współpracownik sofijskiej bezpieki, a zarazem szmugler narkotyków. Miał też na koncie parę ciekawych zleceń...

— Chciałbym się z nim spotkać — rzekł krótko „producent” Łunienko.

— To będzie możliwe — ożywił się kurdupel. — Z początkiem czerwca przyjeżdża delegacja filmu bułgarskiego. Iwanów wejdzie w jej skład, tyle że przebywać będą głównie w Kalifornii.

— W Kalifornii? — rzuca niedbale Blumenbaum.

— Tak, normalny szlak delegacyjny: zwiedzanie Hollywood, kolacja w Klubie Filmowym z udziałem gwiazd i takich postaci jak sam Ronny Reagan.

Następnego dnia Blumenbaum, już jako Hans Meyer, odwiedził niewielki warsztat samochodowy na Long Island. Tam przez dłuższy czas rozmawiał z facetem zwanym w określonych kręgach „Czarodziejem Kolizji”. Tino Mori specjalizował się bowiem w wypadkach. Oczywiście w zupełnie inny sposób niż Towarzystwa Asekuracyjne, które nie wiedziały jednak nic o jego istnieniu.

Specjalnością Tina były katastrofy. Nagłe zablokowanie hamulców, wypadnięcie kierownicy, zepchnięcie wozu z drogi za pomocą ciężarówki, wybuch baku z benzyną — stanowiły tylko część szerokiego wachlarza jego usług.

Rozmowa trwała krótko. Łunienko nie targował się.

— Osobę, czas i miejsce otrzymasz w ciągu dwóch miesięcy. Hasło „profesor”.

— Nie lubię profesorów, fatalnie prowadzą samochody — skomentował Tino.

Opuszczając Tina, Łunienko odniósł wrażenie, że chytry makaroniarz wychodzi wprost z siebie, aby dowiedzieć się więcej o swoim zleceniodawcy. Wasyl nie lubił ciekawskich. Jeszcze bardziej zdenerwował go czerwony chevrolet, który wyjechał zaraz za nim z bocznej uliczki. Oczywiście, to mógł być przypadek. Agent postanowił rzecz sprawdzić. Pojechał kilkanaście przecznic dalej i dotarł do baraków nad rzeką Wschodnią. Chevrolet cały czas pozostawał w zasięgu wzroku. Agent zatrzymał wóz, wysiadł i skręcił w wąski przesmyk między magazynami. Pasażerowie chevroleta (było ich dwóch — Murzyn i biały o wyglądzie makaroniarza) postanowili się rozdzielić. Italianiec został w samochodzie, Negr ruszył za Łunienką. Domorosły wężyciel miał nieszczęście trafić na profesjonalistę. Łunienko przykucnął za jakąś skrzynią puścił mężczyznę przodem, a potem odesłał go do Czarnego Pieła jednym uderzeniem kantem dłoni.

— Za silny jestem — pomyślał spoglądając na swoje dzieło z niesmakiem. Akurat nie zamierzał zabijać, ale cóż...

Wprawnym ruchem syberyjskiego myśliwego obciął Murzynowi ucho i wrzucił je do koperty z paczką banknotów. Potem wypatrzył nad wodą jakiegoś wyrostka, któremu polecił

oddać kopertę mężczyźnie oczekującemu w chevroletcie. Sam przesadził trzy płyty, zdjął perukę, wyrzucił okulary i wskoczył do przejeżdżającej taksówki już jako zupełnie ktoś inny. Był przekonany, że Tino, zważywszy na wysokie odszkodowanie, nie będzie płakać nad Murzynem, za to (i na dłuższy czas) odczytywać solidnych zleceniodawców.

Zanim dojechał na Manhattan zmienił jeszcze trzy taksówki. Z drugiej wyskoczył przed polską restauracją na Green Point, gdzie odbywał się występ kabaretu świeżo przybyłego zza oceanu. Łunienko (jakby kto pytał znowu Blumenbaum) kupił bilet i wszedł na salę. Za kabaretami nie przepadał, zwłaszcza że solista i zespół aktorów, których nazwiska nie Łunienko nie mówiły, zaintonowali pieśń „Żeby Polska była Polską”. Nie poddając się nastrojowi uważnie rozejrzał się po widowni. Jego wzrok zatrzymał się przy drugim stoliku. W towarzystwie pięknych kobiet i równie pięknych ochroniarzy siedział tam doradca prezydenta USA do spraw Bezpieczeństwa Narodowego, profesor Zbigniew Brzeziński.

Agent walcząc z ziewaniem odczekał do przerwy, a potem wymknął się z lokalu, rejestrując jeszcze limuzynę zaparkowaną w sąsiedniej uliczce, przy której warowało dwóch cywilów.

* * *

Dalszy szlak Łunienki był równie urozmaicony. W Bejrucie spotkał się z Ibrahimem ibn Jussufem, Palestyńczykiem biegłym w zakładaniu ładunków wybuchowych w szkołach, szpitalach, autobusach.

Potem odwiedził Rzym, ale tylko po to, aby złapać samolot do Dublina. I tam znów skierował swoje kroki do pewnego człowieka, kilkanaście lat i wojenek wcześniej reprezentanta Zielonej Wyspy w strzelectwie na jednej z powojennych olimpiad. Fachowcy twierdzili, że z wiekiem jego sokoli wzrok jeszcze się zaostrzył...

„Patryk z Limerick”, bo tak lubił o sobie mówić był irlandzki terrorysta, od paru lat pozostawał na emeryturze, ale Łunienko miał nadzieję, że namówi go na tę ostatnią, najważniejszą akcję.

* * *

Chmury gromadziły się nad głową Lebediewa. Najpierw Liwyszyc zauważył ubytek danych w 143 serii prognoz dotyczącej zagrożenia „Programu korektury od wewnątrz”. Ledwie starszy lejtnant wytłumaczył to przypadkową autokasacją komputera, kiedy znów w zestawie wniosków z wizji jasnowidzącej Buriatki musiał wywabić własne nazwisko. Innego dnia, kiedy profesor udał się na poobiednią drzemkę, Rożkow uśmiechając się podszedł do kolegi i pokazał mu wydruk z niegroźną wprawdzie końcówką wyników, za to z serii, której w ewidencji nie było.

— Musiałeś się pomylić w numeracji, kolego — rzekł łagodnie, po czym wrzucił papier do maszyny niszczącej dokumenty.

Lebediew nie zareagował. Ale Rożkow zajął cieplejsze miejsce w jego sercu.

W ciągu następnych dni udało się Piotrowi dorobić komplet kluczy do magazynów i nocami penetrował podziemia znajdujące się pod sektorem A.

Ośrodek NKWD, w którym obecnie rezydowało Centrum wybudowano na wapiennych, kruchych skałach. Część grot, które przedrażały zbocze, przeznaczono na magazyny. Poza tym znaczne partie podziemi były nie wykorzystane. Na najniższym poziomie udało mu się przebić mur i dostać do na wpół zasypanych pieczar. W jednej z grot starszy lejtnant natrafił

na resztki płytko pochowanych zwłok — sądząc po stopniu mumifikacji pochodziły z okresu stalinowskiego. Wszystkie jaskinie były suche — brak wilgoci i, przewiewu wskazywał, że muszą być hermetyczne. Mimo to nie zaprzestawał poszukiwań ewentualnego wyjścia.

* * *

Z pośpiechu Liwszyca można było wnioskować, że lada dzień spodziewał się następnej wizyty Andropowa. Analiza skutków „Korektury” była właściwie gotowa.

Nastał maj, spłynęły ostatnie śniegi, wzgórza zazieleniły się w błyskawicznym tempie. Wiosna nie ominęła również Siewierno–Uralskiego Ośrodka. Lena coraz częściej spotykała się ze starszym lejtnantem, ale ten był skłonny ofiarować jej wyłącznie swoją męską witalność bez głębszych zwierzeń.

Któregoś dnia poprosił go do gabinetu sam generał Smirnow.

— Towarzysz Andropow chciałby mieć cały zapis „Prognozy” i „Korektury” na specjalnych dyskietkach. Skopiujcie je lejtnancie, w ciągu dwóch dni.

— Przecież obowiązuje zakaz wywozu jakichkolwiek informacji o „Korekturze” — zaoponował Piotr.

— Nie dotyczy on, rzecz jasna, Towarzysza Przewodniczącego. W momencie, gdy program ruszy, szef będzie musiał kontrolować go na bieżąco u siebie w domu. Za dwa dni przyleci osobiście po dyskietki.

— A program już rusza? — zapytał machinalnie Lebediew.

— Nie ma na co czekać. Otrzymaliśmy od Łunienki komplet informacji o poczynionych przygotowaniach. Rozmawiałem również z profesorem. Szansę powodzenia wynoszą osiemdziesiąt pięć procent, więc można zaczynać. Oczywiście wy będziecie dalej prowadzić analizy, ale machina musi zacząć się kręcić.

Lebediew wrócił do pracowni. Liwszyc siedział na stole i z rozanieloną miną jadł pomarańcze.

— Podobno przysły już dane operacyjne do analizy — rzekł z lekkim wyrzutem asystent.

— Ach, zapomniałem ci o tym powiedzieć. Wszystko przechwycił Rożkow i segreguje. Potem rozdzielimy zadania między jasnowidzów i skonfrontujemy. Idź do niego i zobacz.

Piotr nie miał specjalnej ochoty rozmawiać z kolegą. Zamiast tego zasiadł w swoim kącie i uruchomił program pozwalający mu zajrzeć do banku danych, nad którymi pracował Rożkow. Wystukał klucz i po chwili miał wszystko na monitorze. Nazwiska ofiar, przewidywane dni zamachów, wykonawcy, okoliczności... Łunienko zdrowo musiał się napracować.

— O, widzę, że już dotarło do ciebie — za jego plecami zabrzmiał głos Rożkowa. — Niesamowite, prawda? Jeśli Łunienko załatwi ich wszystkich, to „Korektura” musi się udać.

— Wszystko wskazuje, że zrobi to bez trudu — mrukną/ niechętnie Piotr. — Ale nie przeszkadzaj mi. Dostałem ekstra robotę, dla Przewodniczącego.

— Jaką? — Rożkow nie potrafił opanować ciekawości.

— Mam sporządzić wykaz najprzystojniejszych agentek świata — zażartował Lebediew.

* * *

Andropow jest uśmiechnięty, rozluźniony. Najnowsze prognozy dotyczące powodzenia akcji wprawiły go w prawdziwy zachwyty.

— A zatem, towarzysze, startujemy!

Smirnow wyciąga butelkę znakomitego francuskiego koniaku. Liwyszyc podniecony skrobie się pod pachą.

Przewodniczący podchodzi do telefonu, włącza się do linii specjalnej i wykręca numer znany zaledwie kilku ludziom. W parę sekund później w willi na przedmieściu Genewy słuchawkę podnosi starsza kobieta.

— Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin — mówi Przewodniczący.

— Dziękuję za życzenia, choć są przedwczesne o trzy dni — pada odpowiedź.

Kobieta odkłada słuchawkę i wyciąga mały aparat nadawczy. Naciska przycisk. Cichy dźwięk brzęczyka i błysk krwawego oczka na aparacie. W hotelu Montreux Łunienko włącza odbiór.

— Zaproszenie imieninowe wysłane — słyszy starczy głos.

Przez ciało agenta przelatuje elektryzujący impuls podniecenia. Nareszcie! Padło hasło rozpoczęcia. Teraz w ciągu trzech dni wykonawcy otrzymają cele i terminy. A potem niech się dzieje, co ma się dziać.

— I jakie to proste — uśmiecha się Antropow odkładając słuchawkę.

— Ruszyło? — dopytuje się profesor Ilia Dawidowicz.

Skinięcie głową

— A gdyby coś poszło nie tak? — zastanawia się Smirnow. — Czy można jeszcze ten mechanizm powstrzymać?

— Na razie tak. Za trzy dni przybędzie tu Łunienko osobiście. Będą możliwe ewentualne korekty.

— A gdyby coś stało się Łunience? — dopytuje się generał. — Czy mamy możliwości ingerencji?

— Wszystkie informacje na temat akcji pozostają tu, w komputerze, oraz zaszyfrowane na moich dyskietkach. A propos, czy daliście je do skopiowania?

— Jest prawie wszystko — uśmiecha się Smirnow. — Piotr Matwiejewicz doskonale wywiązał się z zadania.

— Lebidiew? — w tonie głosu Przewodniczącego jest coś takiego, że starszego generała KGB przelatuje dreszcz. Ale Andropow nie kontynuuje tematu.

Dopiero po wyjściu Liwyszyc zwraca się do Smirnowa.

— Pomysł nie był najlepszy. Mogliście zlecić zadanie komuś innemu.

— To przecież nasz najlepszy programista.

— Ale służby przyjmujące go do pracy działały nieuważnie.

— Jak to? Miał najlepsze opinie. Osobiście znałem jego matkę...

— A babkę?

Smirnow sztywnieje. Nie rozumie, o co szefowi chodzi.

— Babkę, polską ziemiankę, antykomunistkę, z którą spędzał wiele czasu. Na marginesie, czy wiecie, że wasz Pietia świetnie mówi po polsku? Że w trakcie kursów we Wrocławiu wielokrotnie odłączał się od grupy, podróżował samopas po Polsce?

— To jeszcze...

— Tak, to jeszcze niczego nie dowodzi, Smirnow, ale wiesz... Sentymentalizm w polityce kadrowej bywa niebezpieczny — twarz generała pokrywa się rumieńcem. — Nikt taki jak Lebidiew nie powinien znaleźć się nawet w pobliżu „Korektury”.

— Mam system podwójnego zabezpieczenia. Nic złego nie może się wydarzyć. Lebidiewa pilnuje mój najlepszy człowiek — baka komendant.

— Niech więc przez trzy dni nie spuszcza z niego oka. Za trzy dni zjawi się tu Wasyl Mironowicz Łunienko i wszystko naprawi, de-fi-ni-tyw-nie. A teraz się napijemy... Za powodzenie planu. Za bezbolesną i szybką śmierć naszych ukochanych towarzyszy — Michaiła i Leonida. Za Związek Radziecki!

Kilka pomieszczeń dalej obraca się mały magnetofonik odbierający całość rozmowy z „hermetycznej” kabiny komendanta. Magnetofonik to zabezpieczenie Smirnowa, gdyby coś jednak poszło nie tak. Przy aparacie cały czas czuwa Elena Fedorowa. Ma oczy pełne łez.

V

Pomysł zrodził się nagle. I wcale nie został przez Lebediewa wyspekulowany. Wyklął się podczas analizowania jednego z majaczeń Carlosa Rodrigueza, które jako nierealistyczne zostały przez komputery odrzucone.

— Zaprawdę — wołał Rodriguez — wszyscy jesteśmy już trupami, to nie dni, to godziny! — Reszta wypowiedzi utonęła w bełkocie, z którego można było wywołać tylko niektóre słowa, między innymi: atak, gaz...

Atak gazowy na Ośrodek został oceniony przez komputery jako nieprawdopodobny. Nikt na świecie nie wiedział o prowadzonych w Prognalcentrze doświadczeniach. Przestrzeń powietrzna nad ZSRR była nie do przebiccia, a Mathias Rust, nad którego wózczykiem Cyganka zrobiła znaczące zakłęcie, był dopiero dzieckiem i jeszcze nie w głowie było mu lądowanie awionetką na Placu Czerwonym.

Ale Piotr miał przewagę nad komputerem. Przewagę wyobraźni. W bibliotece znalazł stare plany Ośrodka. Posprawdzał. A potem dygocąc z podniecenia czekał na zmierzch. W ciągu dnia Rożkow nie opuszczał go ani na krok. Na szczęście starszy lejtnant opracował awaryjny sposób wychodzenia z pokoju. Przed tygodniem odnalazł cienką ściankę, za którą biegły przewody ciepłej wody i centralnego ogrzewania. Przebił ją i zamaskował ruchomą płytą pokrytą tapetą. Głęboką nocą odkładał słuchawkę telefonu tak, żeby nikt nie mógł sprawdzić, czy go nie ma w pokoju i wymykał się tunelem do kotłowni. Do dalszych pomieszczeń miał podorabiane klucze.

Było dobrze po północy, kiedy dotarł do jaskiń. Szedł przez labirynt posługując się kompasem i z grubsza przerysowaną mapką i znalazł. Jeszcze jeden świeży mur...

Dziarsko wziął się do roboty. Po pół godzinie wyłupał spory otwór, natrafił na izolację. Tak, to było to. Siewierno-uralska nitka gazociągu.

Otwór, który wywiercił, był niewielki, ale wystarczający.

Kiedy odchodził, słyszał za sobą syk gazu.

Usiłował obliczyć szybkość wypływu i porównać go z kubaturą podziemia. Miał nadzieję, że ubytku nie zarejestrują żadne manometry w przepompowniach. Dwa dni powinny wystarczyć. Dwa dni. Przez ten czas gaz prawdopodobnie wypełni w zadowalającym stężeniu całość jaskiń. Lebediew modlił się, żeby katakumby były w miarę hermetyczne i ulatniający się gaz nikogo nie zaalarmował oraz żeby nie doszło do przedwczesnej detonacji.

Jaskinie, na tyle, na ile mógł to sobie wyliczyć, wypełniały przestrzeń pod sektorami A i B. Na moment pomyślał ze strachem o tych wszystkich ludziach, którzy muszą zginąć: o obsłudze, strażnikach i nieszczęsnych, uwięzionych jasnowidzach.

— Nie ma wyboru. Jeśli efektem będzie śmierć Andropowa, Łunienki i zniszczenie szalonych planów „Korektury”, nasza ofiara nie będzie daremna. — Był przekonany, że sam również zginie.

Po powrocie przy drzwiach w pokoju znalazł podsuniętą kartkę.

„Gdzie się podziewasz? Pukałam do ciebie całą noc. Telefon też chyba masz zepsuty. Muszę z tobą porozmawiać. L.”

* * *

Liwszyc przechadza się swoim „Ciemnym Korytarzem”. Obserwuje swych podopiecznych. Już nie tylko Rodriguez, który skrepowany toczy pianę z ust, ale wszyscy „pensjonariusze”, nawet ci zazwyczaj otepiali, zdradzają objawy paniki.

— Nie wiem, co im się mogło stać — mruczy profesor. — Zbiorowy amok? Nauka zanotowała podobne podniecenie u osób parapsychologicznie wrażliwych w czasie erupcji wulkanu Krakatau i podczas zrzucenia bomby na Hiroszimę. Czyżby coś nam groziło?

Swoimi obawami dzieli się z Piotrem.

— A nie uważa Towarzysz profesor, że to może być podniecenie związane z uruchomieniem programu? Przecież „Korektura” to narzucenie innego biegu historii, to wykołajenie indywidualnych losów miliardów ludzi — podsuwa Lebediew.

— A wiesz, że możesz mieć rację — profesor z uznaniem spogląda na starszego lejtnanta. — A propos, ty też dzisiaj fatalnie wyglądasz.

— Trudno wyglądać dobrze, jeśli się spało zaledwie dwie godziny — odparł Piotr. — Sprawdzalem usterki w paru programach, zajęło mi to prawie całą noc.

— Ech ty pracusiu. Więc uważasz, że nie powinienem sygnalizować tych objawów zbiorowej hysterii Przewodniczącemu?

— Ja bym jeszcze poczekał.

Przez uchylone drzwi rozmowie przysłuchuje się Rożkow. Na jego ustach błąka się uśmiezek.

* * *

Andropow polował. Dołączył do szalejącej w obwodzie Komi ekipy zachodnioeuropejskich socjaldemokratów, dla których zorganizowano łowy.

Przewodniczący Komitetu Bezpieczeństwa sam polował niechętnie, ale musiał, gdyż to był sport, któremu z zapalem oddawała się cała wierchuszka współczesnego bojarstwa. Oberżandarm z trudem tłumil własną niechęć. Charakter miał wrażliwy, lubił w wolnych chwilach pisywać egzystencjalne wiersze. A tak naprawdę fascynowały go jedynie polowania na ludzi.

Toteż po dwóch dniach zoologicznej jatki z przyjemnością powrócił do tajnego Ośrodka i generała Smirnowa. Lada moment miał przecież przybyć Łunienko.

* * *

Lebediew całował piersi Leny. Lubil je i podziwiał. Funkcjonariuszka była regulaminowo jędrna, a sutki sterczały jej na baczność niczym czubki cerkiewnych kopuł, z których rewolucyjna gorliwość poodtrącała krzyże.

— Nie bój się, wszystko będzie dobrze — uspokajał dziewczynę.

— Powinieneś uciekać! Natychmiast. Inaczej cię zabiją.

— Niepotrzebnie dramatyzujesz, Lena. Dlaczego mieliby mnie zabijać?

— Bo podejrzewają cię. Andropow wygrzebał coś o twoim polskim pochodzeniu...

— Pochodzenie to jest powód, żeby najwyżej odsunąć mnie od pracy...

— Widzę, że mi nie wierzysz. No to posłuchaj. — Lena wyciąga mały magnetofon kasetowy i zakłada Piotrowi słuchawki. Włącza przycisk.

„Nikt taki jak Lebediew nie powinien znaleźć się nawet w pobliżu »Korektury«” (to głos Andropowa, zaraz potem odzywa się bas Smirnowa). „Nikt nie jest poza kontrolą. Mam system podwójnego zabezpieczenia. Lebediewa pilnuje mój najlepszy człowiek”. Andropow: „Niech więc przez trzy dni nie spuszcza z niego oka. Za trzy dni zjawi się tu Wasyl Mironowicz Łunienko i wszystko naprawi”...

Twarz starszego lejtnanta spoważniała.

— Co masz jeszcze w tym nagraniu? — pyta.
— Dużo ciekawych rzeczy. Smirnow, stary asekurant, kazał mi nagrywać wszystkie rozmowy z szefem.
— Jest tam wzmianka o planie zamachu na Pierwszego Sekretarza?
— I na Susłowa... Całe mnóstwo szczegółów.
— Zostaw mi to!
— A więc uciekniesz? Obiecuj mi...
— Wracaj do siebie Lena. I nie bój się. Taśmę ukryję poza pokojem, tak że nie znajdą jej nawet jeśli spróbują mi zrobić rewizję.
— Wiesz już jak uciec?
— Nie zadawaj pytań.
— Kocham cię, Piotrze.
— Ja ciebie też.

A przecież nie kochał jej. Może w ogóle nie był zdolny do miłości, a przynajmniej nie umiał zdobyć się na owe, konieczne przy uczuciu dwojga ludzi, bezgraniczne zaufanie. Elena Fedorowa zrobiła dla niego wielką rzecz. Dostarczyła materiał, dzięki któremu jeśli się wydostanie, będzie mógł szantażować Przewodniczącego i powstrzyma akcję „Korektury”. Ale do tego musiał znaleźć się na wolności i żyć.

* * *

Lena, przeskakując po kilka stopni schody, wracała do swojego pokoju. Jej kwatery znajdowała się w części dowódczej bunkra, parę kroków od sypialni generała Smirnowa i pokoju gościnnego. Na korytarz wyszła zamyślona...

— Bezsensowność, towarzyszek Fedorowa? — padło nagle pytanie. Stała jak wryta. Jurij Andropow stał w otwartych drzwiach swojego apartamentu i uśmiechał się. Nie był to przyjemny uśmiech.

— A może byście tak wpadli do mnie? Co?

* * *

Kiedy zapukał Rożkow, Smirnow jeszcze nie spał. Zresztą był pewien, że nie zaśnie tej nocy. Wkrótce miał przylecieć Łunienko. Generał niepokoił się tą wizytą. Likwidacja Lebediewa została postanowiona. Ale co mogło stać się z nim, zwierzchnikiem Piotra i jego protektorem? Smirnow przymknął oczy i przez moment widział piękną twarz Kristiny, jej dumną szyję, piękne czarne włosy. „Kniagina maja!” — przemknęło mu przez myśl. Poczuł żal. Ale nic nie mógł zrobić. Ani dla Lebediewa, ani... A dla siebie?... Żywił niewielką nadzieję, że jest ciągle niezbędny Andropowowi, przynajmniej teraz.

Już na pierwszy rzut oka generał zorientował się, że informator nie przynosi dobrych wieści. Mimo że Rożkow był mistrzem mimiki, teraz nie potrafił ukryć swojego zdenerwowania.

— Co się dzieje? — rzucił generał. — Wyglądasz jakbyś był na własnym pogrzebie.
— Nie wiem, ale coś wisi w powietrzu.
— Mógłbyś wyrażać się mniej metaforycznie?
— Liwshyc mówił, że w pawilonie B, wśród tych wszystkich dewiantów, panuje prawdziwa panika.
— Bunt?

— Nie, strach. To samo wyziera z ich objawień. Zachowują się jakby nad Ośrodkiem nagle zawisło potężne niebezpieczeństwo.

— Żadnych konkretów?

— Nie widziałem wszystkich danych, analizuje je Lebediew. Co gorsza, namówił profesora, aby nie informował o tych sygnałach Przewodniczącego.

— Może i lepiej — pomyślał Smirnow. — W umyśle Andropowa mógłby zrodzić się pomysł likwidacji Ośrodka. Wprawdzie znaczyłoby to ruszenie z „Korekturą” w ciemno, lecz zwiększyłyby bezpieczeństwo samej akcji.

— A co z Lebediewem? — dorzucił głośno. — Coś knuje?

— Nocami znika ze swojego pokoju, choć udaje, że cały czas tam jest.

— Pilnuj go. Szczególnie dzisiaj. Ufa ci?

— Raczej tak.

* * *

Na leśnej polanie przysiadł włóczęga. Mało kto rozpoznałby w nim biznesmena, który pół doby wcześniej wylądował na lotnisku Wnukowo, czy oficera, który godzinę później odleciał do Uchty, a stamtąd autobusem dotarł na to pustkowie. Tu znów się przebrał — i teraz czekał.

Słońce schowało się za lasem, spod stóp Łunienki wyprysnęły dwie duże wiewiórki. Uśmiechnął się. Cmoknął. Przystanąły zaskoczone. Imitując przymilne dźwięki agent sięgnął do kieszeni i wyciągnął duży okruch balonika. Jeszcze raz zacmokał. Mniejsza wiewiórka dała dyla w krzaki, druga zawahała się. Łunienko wstał. Popatrzył prosto w paciorkowe oczy zwierzątko i nadał swojemu głosowi znowu sympatyczne brzmienie. Patrząc na to z boku można by rzec — święty Franciszek wygłasza pogadankę do zwierzyny. Wysunął rękę. Mógłby przysiąc, że na wilgotnym pyszczku „bielki” pojawił się uśmiech.

Chwycił ją jednym ruchem, zacisnął palce. Rozległ się urwany pisk i trzask pękających kości. Łunienko odrzucił rudą „szmatkę”.

— Nigdy nie ufaj obcym, którzy się do ciebie łąsają, kretyńko! — był to koniec żalobnego przemówienia.

Od wschodu narastał metaliczny dźwięk. Wasyl uniósł wzrok. Zza wzgórz wyłonił się znajomy kształt śmigłowca. Anton przybywał na czas. A i tak do Ośrodka dotrą późną nocą.

* * *

— Nie rozumiem, czego towarzysz Przewodniczący ode mnie oczekuje — Fedorowa obciągnęła mundurową spódniczkę.

— Zgoła czego innego niż ten brutal Łunienko — odparł Andropow. — Chciałbym poznać wasze osobiste zdanie na temat Lebediewa.

— Miły kolega, utalentowany programista...

— Dość krótka recenzja!

— Nie znam go zbyt dobrze.

— Czy nie przemawia przez was zbyt skromność, towarzysko Fedorowa? Nie jestem dociekliwy, ale człowiek, z którym sypiacie od pewnego czasu chyba zasługuje na lepszą opinię.

— Skąd pan wie? — twarz Leny pokrył rumieniec.

— Moim obowiązkiem jest wiedzieć wszystko.

— Więc cóż mogę więcej dodać?

— Ja nie nalegam. Ale w waszym interesie i interesie towarzysza Piotra byłoby dowiedzieć się, jakie ma plany?

— Plany?

— Nie udawajcie kretynki, Fedorowa! Oboje wiemy, że Lebediew coś knuje. Myślicie, że nie wiem o nieudolnych próbach fałszowania wyników, o jego opiniach na temat „Korektury”...

— W takim razie wiecie więcej niż ja.

Andropow wstał.

— Dość tej słownej szermierki. Jeśli możecie nam pomóc, pomóżcie, jeśli nie, przepraszam.

Rozległ się cichy brzęczyk. Bezpośrednia linia od Smirnowa. I Lena, i Przewodniczący wiedzieli, co to znaczy. Łunienko przyjechał.

* * *

Elektroniczny zegar wskazywał 3.20. Lebediew zszedł o poziom niżej i zapukał do Rożkowa. Bez odpowiedzi. Spróbował jeszcze raz.

— Szukasz mnie, Pietia? — dobiegł przymilny głos za jego plecami. Kompletnie ubrany kolega wyszedł zza betonowego wspornika.

— Tak, Żenia, obiecywałeś kiedyś, że możesz mi pomóc.

— Oczywiście — ożywił się Rożkow. — A o co chodzi?

— Muszę dostać się do sektora B, a nie mam karty magnetycznej.

— Po co chcesz tam iść?

— Powiedzmy, że chcę coś sprawdzić. Istnieje pewien plan...

Lejtnant Rożkow zastyga w oczekiwaniu, ale Piotr dorzuca natychmiast.

— Zupełnie nie wiem, jak to zrobić.

— To akurat nie jest takie trudne. Liwyszyc, który bywa zapominalski, duplikat swojej karty trzyma w gabinecie, w sejfie.

— Ba, w sejfie, nie znam szyfru.

— Ja przypadkowo znam. Ale musiałbym wiedzieć, w jakim celu tego potrzebujesz?

— Opowiem ci wszystko, Żenia, po drodze. Kwadrans potem są już na schodach wiodących do piwnic. Ku zaskoczeniu Rożkowa Lebediew dorobionymi kluczami otwiera każde drzwi. Schodzą coraz niżej.

— Pokażę ci moją tajemnicę, zdziwisz się — mówi.

* * *

— A teraz ostatnia sprawa — relacjonuje Łunienko. — Ci dwaj nasi... — Jurij Andropow nachyla się ku niemu, chłonie każde słowo agenta. — Jeśli chodzi o Susłowa, to podczas zimowej wizyty na Kaukazie załatwi go oddział ormiańskich bandytów. Mam doskonałe miejsce na zasadzkę w drodze do Nachiczewania. Działa tam grupka przemytników, którzy za obietnicę szmalu i tureckie dokumenty gotowi byliby strzelić nawet do Pana Boga.

— A jak amatorzy sfuszerują?

— Grupkę, z dystansu, będzie obserwował mój snajper, on też odda decydujący strzał, a potem w górach załatwi uciekających bandziorów.

— Nieźle. Mam nadzieję, że przygotowaliście równie precyzyjnie ekipę na Leonida Ilicza?

— Tę sprawę załatwi jeden człowiek na Kremlu.

- Ty? Ciekawe, w jaki sposób miałbym cię przeszmygłować na Kreml?
- Załatwi to fachowiec zdecydowanie lepszy ode mnie — uśmiecha się Łunienko.
- Nie znam takich.
- Wy, Towarzyszu Przewodniczący.

Andropow oblizał wąskie wargi. Na jego twarzy pojawiło się zaskoczenie.

— Jak to sobie wyobrazasz, Wasyl? Mam strzelać do Pierwszego Sekretarza w jego gabinecie? A może zasztyletować lub udusić? To niewykonalne! Nigdy nie jesteśmy sami, cały czas obserwują nas kamery. Ja nawet nie zbliżam się wystarczająco blisko.

— Zbliżasz się, Jura, przy każdym oficjalnym powitaniu. Stary Leonid nigdy nie odmawia sobie „niedźwiedzia” z tobą, a wiesz, jak całuje?

— I wtedy mam przegryźć mu tętnicę?

— Bynajmniej. Twoje policzki pokryjemy najpierw neutralizującą warstewką, a potem niezwykle silną trucizną. Minimalna ilość wystarczy, aby w dwie godziny po pocałunku stanęło serce naszego leciwego Sternika. Sekcja niczego nie wykaże. Alkaloid jest piekielnie trudno wykrywalny. A propaganda stwierdzi, że był to efekt szoku po śmierci ukochanego współpracownika Michaiła Susłowa. A jeśli chodzi o was, to natychmiast po pocałunku przerwiecie rozmowę i pójdziecie do łazienki zażyć antidotum. Proste, prawda? Z technicznej strony patrząc — Breżniew otruje się sam...

— Dobrze — uśmiecha się Przewodniczący. — O szczegółach jeszcze porozmawiamy. Dziś trochę się spieszę. Punktualnie o piątej kazałem Antenowi podstawić helikopter, lecę do Workuty. — Acha... mamy jeszcze jedną małą sprawę do załatwienia. Mała robótka. Tutaj.

— Z przyjemnością — kiwnął głową Wasyl czując miłe mrowienie w koniuszkach palców.

VI

Doszli do najniższego poziomu gospodarczego. Korytarzyk ostro zakręcał. Za czterema schodkami pojawiły się solidne drzwi ostatniego z magazynów. Lebediew zastanawiał się, ile gazu zdążyło już zgromadzić się w podziemiach. Rożkow był tak podniecony faktem, że Pietia chce go dopuścić do swojej tajemnicy, że zatracił jakąkolwiek ostrożność. Na schodach starszy lejtnant przepuścił go przodem i gdy Żenia mijał go, uderzył z całej siły. Cios został wymierzony precyzyjnie. Rożkow osunął się na ziemię.

— Co... Co robisz? — zdołał jeszcze wybełkotać. Lebediew nie odpowiedział, tylko wbił igłę w kark funkcjonariusza i nacisnął tłoczek strzykawki.

— Musisz zasnąć, Żenia, na króciutko.

Preparat był dość słaby. Lebediew dwukrotnie wypróbował go na sobie — raz spał godzinę, raz godzinę i kwadrans. Organizm Rożkova powinien zareagować podobnie.

Zegarek Piotra wskazywał 3.45. Rożkow chrapał. Starszy lejtnant popatrzył na elektryczny kontakt znajdujący się tuż nad śpiącym, po czym wykręcił żarówkę. W korytarzu zapanowała ciemność. Jedyne słabe światło sączyło się zza zakrętu. Piotr wycofał się ku drzwiom. Z pyłu wygrzebał biegnący tuż przy ścianie kabel. Postanowił wykorzystać Rożkova w charakterze żywego detonatora.

Kiedy ocknie się, zapewne poszuka na ścianie włącznika światła. Przekręci i to wystarczy, aby iskra dostała się na drugą stronę do wypełnionych gazem podziemi.

A jeśli tego nie zrobi, jeśli pójdzie za światłem ku wyjściu?

Lebediew przygotował się i na tę sytuację. Zamykając drzwi umocował drugi włącznik przy klamce. Najbliższe jej dotknięcie miało zamknąć obwód...

— Przynajmniej jako zapalnik o spóźnionym działaniu przysłużysz się sprawie wolności i demokracji, Żenia — westchnął półgłosem.

Do kieszeni wsunął magnetyczny klucz Liwszyca i pospieszył w górę. Minął swój pokój nie zatrzymując się, mimo że w środku dzwonił natarczywie telefon. Któż mógł go szukać o tak dziwnej porze? Przyspieszył kroku. Dotarł do poziomu II. Pukając do pokoju Leny zdawał sobie sprawę, że nie powinien tego robić, ale nie potrafił z czystym sumieniem skazać dziewczyny na śmierć. Fedorowa nie spała. Wyglądała na mocno podenerwowaną

— Co się stało, Pietia?

— Chodź ze mną!

— Ale co się stało?

— Chodź ze mną!

* * *

— Lebediew nie odbiera telefonu — powiedział Smirnow odkładając słuchawkę.

— Dziwne — skrzywił się Andropow. — O tej porze uczeni czekici powinni spać. Chyba że są na służbie.

— Zatelefonuję do Rożkova i sprawdzę, co się dzieje. Cały czas miał uważać na Lebediewa... — Generał wystukuje numer. — Cholera i tam nikt nie odbiera.

— Zdaje się, że ktoś powinien to sprawdzić — Łunienko podnosi się z miejsca. Twarz ma nieprzeniknioną, ale w głosie można wyczuć wyraźne zadowolenie.

— Dam wam do pomocy któregoś z moich ludzi. Nie znacie dobrze Ośrodka.

— Jestem zawodowcem, generale — pada odpowiedź. — Już za pierwszym pobytym tutaj nauczyłem się planu bazy na pamięć.

— Chciałbym zobaczyć go żywego, Wasyl — podkreśla z naciskiem Przewodniczący.
— Oczywiście... ale nie mogę dać słowa honoru, że to się uda. Zawsze może dojść do wypadku w czasie pracy.

* * *

Kiedy znaleźli się przy windzie usłyszeli ciche stuknięcie i szmer w szybie. Ktoś z dołu przywoływał dźwig.

— To poziom bunkra dowodzenia — szepnęła Elena. Lebediew pociągnął ją ku schodom. Aby dotrzeć do łącznika między blokami musieli minąć kondygnacje mieszkań personelu. Gdy przecinali ją znowu brzęknęła winda. Przypadli do muru. Piotr wstrzymał oddech. Na szczęście na schodach panował mrok. Z windy wyszedł Łunienko. W ręku trzymał broń, krótki automat przypominający izraelskie uzi. Może zresztą było to „sowieckie uzi” produkowane bez licencji. Wasyl Mironowicz szedł kocim krokiem, bezszmerowo. Najpierw skręcił ku drzwiom Rożkowa. Otwarcie ich zajęło mu sekundę. Wszedł... Wykorzystując ten moment Lena i Piotr zbiegli piętro niżej i skręcili w łącznik. Już wcześniej Fedorowa pozbyła się butów. Niosła je w ręce. Z jakiejś szafki Lebediew wydobył dwie kurtki i plecak. Sądząc po ciężarze wyposażony dość obficie.

— Po co to? Zamierzasz wydostać się na zewnątrz? Drzwi posłuszne karcie Liwszyca otworzyły się i zaraz zamknęły. Piotr przez moment zastanawiał się, jak sforsuje je Łunienko. Zapewne ci, którzy wysłali go na łowy nie zapomnieli o takich szczegółach.

— Możesz mi wreszcie powiedzieć, o co chodzi? — Lena wykazywała coraz większą irytację.

Uspokoił ją przytykając palec do ust. Byli już przy wartowni. Jeden ze strażników drzemał, drugi gapił się w monitor z widokiem centralnego korytarza Bloku B. Mieli szczęście, że do tej pory nie zostali zauważeni. Jeden ruch i podgląd można było skierować na łączniki. Widocznie jednak dyrektywa dla ochroniarzy dotyczyła głównie pilnowania wejścia i wyjścia.

Lebediew dopadł strażnika trójskokiem, ten w ostatniej chwili odwrócił głowę. Na jego twarzy widać było zaskoczenie.

— Co wy?...

Piotr zgasił go jednym uderzeniem. Żał mu było Szewukidze, grywał z nim ongiś w szachy. Ale teraz nie miał wyboru. Potem szybko ogłuszył drugiego strażnika.

— Co ty wyprawiasz? — pytała zdenerwowana Fedorowa.

— Na miłość boską nie gadaj, tylko szybciej! Wystukał na klawiaturze kod zabezpieczenia drzwi.

Następnie nacisnął przycisk. Do wartowni wdarło się trochę rześkiego porannego powietrza. Elena skoczyła ku wyjściu.

— Nie tędy, na dół! — Lebediew pociągnął ją za rękę. Zrozumiała. Łunienko czy ktokolwiek z tych, którzy będą ich ścigać muszą pomyśleć, że wydostali się na zewnątrz. Była to najkrótsza droga do wolności. Gdzie jednak zbiegał Piotr?

Znaleźli się w Czarnym Korytarzu. Przez jednostronnie przejrzyste ściany widzieli jasnowidzów w swoich celach. Po wczorajszej panice zapanował wyraźny spokój. Spokój właściwy ludziom zrezygnowanym, pogodzonym. Ulubiony Papuas Liwszyca siedział z pochyloną głową jak skazaniec przed egzekucją. Tania Zwiagina klęczała tyłem do wejścia i modliła się. Rodriguez w kaftanie bezpieczeństwa kołysał się na pryczy, a z gardła wydobywał mu się ni to śmiech, ni to płacz upiorny. Inni zachowywali się podobnie. Choć nie mogli wiedzieć o piechurach w Czarnym Korytarzu, wyczuli ich — unosili głowy, spoglądali w nieprzejrzyste lustra. W ich spojrzeniach był żal, rozpacz i przerażenie, ale starszy lejtnant

nie dostrzegał nienawiści. Ostatnią celę zajmował Havliczek, Czech o genialnych umiejętnościach telekinetycznych. Gięcie łyżeczek, przesuwanie przedmiotów stanowiły dla niego drobnostkę.

Tej nocy najwyraźniej postanowił zmierzyć się z kratą prowadzącą na wewnętrzne podziemne podwórko. Musiał rozgiąć ją telekinetycznie, precyzyjnie do połowy... I chyba wtedy zawiodły go nerwy. Krata wróciła na swoje miejsce miażdżąc klatkę piersiową Havliczka. Czech nie żył.

— Boże, wybac mi — jęknął Lebediew. Wreszcie dotarli do końca Bloku B. Dalej ciągnął się jedynie wąski korytarz wykuty w skale, który prowadził do awaryjnej furtki.

— Co ty robisz, Piotrze? — zawołała Lena. — Przecież oddaliśmy się od wyjścia!

— Oddaliśmy się od epicentrum — mruknął i zabrał się do kłódki zamykającej awaryjne drzwi.

— Od czego?

— Od epicentrum! Za kilkanaście, może kilkadziesiąt minut Ośrodek przestanie istnieć. Ale nie bój się. Bunkry sektora C, do którego idziemy, stoją na granitowej skale, pod spodem nie ma jaskiń, więc powinny przetrwać.

— Chcesz zniszczyć Ośrodek, zaminowałeś go? Ale j czym?

— Gazem — odparł i zrozumiał, że popełnił błąd. W rękę Fedorowej pojawił się pistolet.

— Przykro mi, Piotrze. Coś w nim pękło.

— Lena, ty też? A ja ci uwierzyłem!!!

— Nie pracuję dla Andropowa, ale w sprawie „Korektury” mam identyczne zdanie jak on. Nie dopuścimy do upadku naszej ojczyzny i zdrady. Ani ja, ani generał Smirnow.

Drugą ręką wyciągnęła z kieszeni radiotelefon, każdym korytarzu były przekaźniki umożliwiające łączność kablową przez grube mury powstrzymujące fale radiowe. Aby włączyć nadajnik na moment pochyliła głowę. Lebediew stał o trzy metry od niej i w rękę miał tylko kłódkę. Cisnął. Dostrzegła pocisk w ostatniej chwili i nacisnęła spust. Broń jednak nie wypaliła. Kłódka trafił Elenę precyzyjnie w skroń. Osunęła się na ziemię. Piotr zabrał broń, telefon, karty magnetyczne, a kajdankami, które miała przy sobie, skuł jej ręce. Potem pchnął drzwi.

Ogarneło go świeże powietrze porannego lasu. Zrobił się już jasno. Zaraz za zagajnikiem zaczynał się niski pas bunkrów sektora C. Rzeczywiście nie było tam żadnego wyjścia na zewnątrz. Ale wspinający się ku betonowym bryłom Lebediew wcale nie chciał uciekać. Zamierzał poczekać.

* * *

Łunienko sunął jak tropiący ogar. Nie znalazłszy w swoich kwaterach ani Rożkova, ani Lebediewa przez chwilę wahał się, czy nie zajrzeć na niższe kondygnacje. Odrzucił jednak ten pomysł. Zatelefonował na wartownię A.

— Nie, nikt tędy nie przechodził — padła odpowiedź strażnika.

Zadzwoił na posterunek B. Nikt nie odpowiedział. Na twarzy Wasyla zaigrał uśmiech. Połączył się z Andropowem.

— Ucieka przez Blok B, ale nie podnoście jeszcze alarmu. Najwyżej należy wzmocnić posterunki zewnętrzne. Niech nie wypuszczają nikogo. Załatwię to sam.

W wartowni B znalazł się już pięć minut po Elenie i Piotrze. Gwizdnął z podziwu widząc fachowo ogłuszonych strażników. Natychmiast zobaczył też uchylone zewnętrzne drzwi. Wyrżał. Na dziedzińcu było pusto, tylko przy kolejnej bramce błyskały papierosy strażników. Ogarnął wzrokiem cały, rozległy teren. Uciekający mógł próbować wielu dróg. Którą jednak wybrał? Łunienko doceniał przeciwnika. Wiedział, że ma do czynienia z

zawodowcem. Czy zawodowiec zostawiłby uchylone drzwi? Morderca uśmiechnął się i przez chwilę przelatował na monitorze wszystkie korytarze objęte kamerami wewnętrznej telewizji. Nigdzie nawet śladu ruchu. Rozpłynęli się, czy co? W swojej „komputerowej” pamięci przeanalizował schemat pawilonu. Znalazł stare awaryjne wyjście wykorzystywane ongiś przez NKWD do wyprowadzania skazańców na egzekucje. Tego korytarzyka nie ujmowały kamery.

Ogłuszona Lena leżała parę kroków od uchylonych drzwi. Łunienko przeskoczył ciało i wydostał się na zewnątrz. Śpiewały ptaki. Wydobył broń i rozejrzał się czujnie. Potem klęknął i uważnie oglądał zroszoną trawę. Ślady były wyraźne. Tymczasem półzywa Fedorowa podniosła głowę. Chciała zawołać Łunienkę, przestrzec przed eksplozją, ale ten był już za daleko.

* * *

Z wysokości swojej kryjówki Piotr zauważył sylwetkę Wasyla posuwającą się skokami wśród brzoź.

— Dziesięć minut, jeszcze dziesięć minut... — pomyślał i popatrzył na broń Leny.

Co znaczą kobiece nerwy. Strzelała do niego zapomniawszy odbezpieczyć pistolet. On nie może popełnić tego błędu. Była 4.55. Rożkow powinien już odzyskać przytomność, wstać na kolana i macać rękoma po ścianie szukając włącznika światła. Dlaczego tego dotąd nie zrobił? A może środek był zbyt mocny i funkcjonariusz będzie spał jeszcze dobie?...

* * *

Andropow zakłada płaszcz. Smirnow nawet nie proponuje opóźnienia odlotu. Punktualność i rygorizm Przewodniczącego w takich kwestiach są przysłowiowe. Generał wręcza jedynie pakunek z dyskietkami zawierającymi całość zaszyfrowanych materiałów „Prognozy” i „Korektury”, które skopiował Lebediew.

— Rożkow sprawdził materiał, wszystko jest w porządku — melduje Smirnow.

Szef KGB rusza do wyjścia.

— Polowanie dokończycie beze mnie — mówi. — Łunienko pomoże wam przesłuchać Lebediewa. Zdajcie się na jego metody. Potrafi skłonić do gadulstwa nawet ryby. A gdyby zdarzyło się coś naprawdę ważnego, znacie kod awaryjny. Zresztą nic nie powinno się zdarzyć. „Korektura” ruszyła i tylko Łunienko mógłby ją zatrzymać.

— A jeśli Lebediew się wydostanie?

— Sami mówiliście, że nie ma szans. W razie czego rozpuście legendę o żołnierzu schizofreniku, który uciekł z jednostki i jest groźny dla otoczenia. Odpowiadacie za to. I za wszystko, co mógłby mieć przy sobie!

Z dziedzińca dolatuje warkot silnika zapuszczonego przez Antona w śmigłowcu.

* * *

Nie widzieli się nawzajem. Lebediew tkwił wewnątrz płytkiego bunkra. Łunienko znajdował się tuż nad nim. Jak wyczuł, że tropiona „zwierzyna” schroniła się właśnie tam?

— No i co, Pietia? — przemawiał czule i spokojnie. — jak ci tam w środeczku? Zdaje się, że nie doceniłeś Wasyla. Dałeś się schwycić w pułapeczkę.

Piotr nie odpowiadał. Modlił się, żeby monolog mordercy trwał jak najdłużej.

— Z jakimi ty amatorami pracowałeś, jeśli sądziłeś, że uda ci się wprowadzić w pole mnie, Łunienkę? Ale ja się nie gniewam. Ba, dam ci szansę. Pojedyneczek. Ty z wszystkim co tam posiadasz, a Wasyl z gołymi rączkami. Co? Nie odpowiada ci taki układ? To może lepiej wyjdź, z rączkami do góry. Przewodniczący porozmawia z tobą a potem wyślemy cię gdzieś na „wczasy”...

W otworze wyjściowym zamajaczył cień. Piotr nie wytrzymał. Strzelił.

— Pudło! — zarechotał Łunienko. — Towarzysza zawodzą nerwy. No dobrze, a co byś powiedział na małe podwędzenie?

Do środka wpadł ogłuszający granat. Lebediew kopnął go ku wyjściu, ale za słabo i ładunek zdetonował na progu. Starszy lejtnant przytknął do ust chusteczkę. Liczył sekundy... Najpóźniej za pół minuty będzie musiał wyjść.

Łunienko zarepetował uzi. Z napięciem wpatrywał się w otwór bunkra. Jeżeli tylko pojawi się w nim Lebediew, strzeli mu w tył głowy.

— Łunienko! Łunienko! — Usłyszał naraz z dołu bardziej skowyt niż krzyk.

Między brzoza, potykając się i co chwila padając zbliżała się Fedorowa.

— Zawiadomcie Przewodniczącego. Gaz... wybuch... zaraz... — wołała.

— Gaz?... — Łunienko zeszywniał. — Jaki gaz?...

Detonacja była straszliwa. Przerażliwy huk przerwał ciszę poranka. Zwielokrotniły go okoliczne góry. Łunienko poczuł, jak nagle pozbawiony grawitacji unosi się w powietrze, szybuje, spada na miękką ściółkę, a na niego wali się świat — bloki betonu, konary drzew. Ból, mrok, cisza!

Kurz opadł. Lebediew krztusząc się wypadł z ukrycia. Solidny bunkier z czasów Josifa Wissarionowicza przetrwał detonację. Piotr oberwał jedynie paroma drobnymi odłamkami skalnymi, krew spływała z rozciętego czoła. Czuł ból pękniętego żebra. Ale żył! Rozejrzał się dookoła. Ośrodek Siewierno-Urałski zniknął. Przypominał mrowisko rozwalone racicą dzika. Ani śladu Leny. Tam, gdzie biegła, pojawiło się głębokie zapadlisko. A Łunienko? Morderca leżał wśród kamieni. Jeden potężny blok przywalał mu nogi. Złamana ręka leżała odrzucona w barokowym łamańcu.

Piotr zbliżył się do przeciwnika. Zaczaj obszukiwać jego kieszenie. Znalazł spory plik pieniędzy i dokumenty na nazwisko Mikołaja Worobiowa. Kończył rewizję, kiedy Wasyl Mironowicz poruszył ustami.

— Brawo, Pietia, i co teraz? Zastrzelisz zmasakrowanego inwalidę?

Starszy lejtnant zawahał się. Płomień nienawiści w ocalałym oku cyklopa był przerażający.

— Nic z twoich zabiegów, towarzyszu. Akcja już ruszyła. Tylko Wasyl mógłby ją zatrzymać, ale żywy czy martwy nie zechce. No, strzelaj humanisto.

Spokój tego człowieka ze zmiądzonymi nogami i połamaną ręką był niesamowity. Lebediewowi trudno było podjąć decyzję i strzelić. Choć wiedział, że musi. Podsunął się bliżej. Świsnął nóż. Wasyl cały czas musiał go trzymać w zdrowej ręce. Piotr poczuł świdrujący ból w boku, strzelił z odległości pół metra w twarz Łunienki i padł na jego ciało...

* * *

Ponad kurzawą unosi się srebrzysta ważka.

— Mielicieście szczęście, Towarzyszu Przewodniczący. Gdybyśmy wystartowali dwie minuty później...

Andropow milczy. Patrzy na gruzowisko pozostawione w dole. Uśmiecha się.

— Wezwę posiłki, na pewno są ranni — mówi pilot.

— Nas tu nie było, Anton, nas tu nigdy nie było — stwierdza łagodnie Przewodniczący.

Jest wstrząśnięty i pełen podziwu dla pomysłu Lebediewa. Ale zarazem zadowolony. Wszystko będzie toczyć się dalej, ale już bez świadków, bez kłopotliwego współnika — Łunienki. A że bez dalszych prognoz? Cóż, jeśli „Korektura” się uda, cel życia Jurija Andropowa zostanie osiągnięty z nawiązką

* * *

Sanitariusze, którzy przeszukiwali gruzowisko Siewierno–Uralskiego Ośrodka bardzo prędko natknęli się na ciała Łunienki i Lebediewa. „Cyngla” Andropowa odesłano do kostnicy, natomiast latająca sanitarka KGB przewiozła Piotra Matwiejewicza do szpitala w Uchcie. Tam został umyty i opatrzony. Na szczęście nóż Łunienki nie uszkodził żadnego z istotnych organów. Znalaziono przy nim dokumenty na nazwisko Nikołaja Worobiowa i taśmę, która została doskonale spreparowana. Znajdowały się na niej nagrania muzyczne i dopiero bardzo skomplikowana obróbka pozwoliłaby wydobyć zaszyfrowane szczegóły „Korektury” lub oryginalne słowa Andropowa o konieczności zabicia Breżniewa.

Młodzi funkcjonariusze z Autonomicznej Republiki Komi posłuchali muzyki i zawiedzeni odłożyli kasetę razem z dokumentami do osobistych rzeczy rannego. Mieli zresztą wielu rannych, głównie z zewnętrznych wartowni. Z Bloków A i B nikt nie ocalał.

Lebediew–Worobiow czuł się znacznie lepiej niż to symulował. Lada moment spodziewał się, że w szpitalu pojawią się jacyś specjaliści wysłannicy Andropowa i go zdemaskują. Dlatego już drugiego dnia zdecydował się na ucieczkę. Po drodze włamał się do magazynu, zabrał dokumenty i taśmę, a następnie po akrobatycznym rajdzie dachami i krótkiej, bardzo jednostronnej walce ze strażnikiem, opuścił Uchtę. Los mu sprzyjał. Ucieczkę Worobiowa zauważono dopiero po sześciu godzinach.

W papierach Łunienki znajdował się kwit z miejscowej przechowalni bagażu. Lebediew udał się na dworzec autobusowy i już po chwili był właścicielem okazałej walizki, w której znalazł nie tylko sporo różnych rodzajów broni, ale i masę pieniędzy — głównie w walutach, paszporty wielu krajów na rozmaite nazwiska, dowody osobiste — polskie, czeskie, energowskie oraz dokumenty i druczki in blanco niezwykle przydatne w zbiurokratyzowanym życiu Związku Radzieckiego. Był tam też komplet przyborów do charakteryzacji, kolekcja wytrychów, parę śmiercionośnych gadżetów, a nawet paczka prezerwatyw, co dowodziło, że Łunienko przygotowywał się] wszechstronnie na każdą okazję.

Przedzieranie się przez ZSRR zajęło Piotrowi tydzień! Był w tym czasie ścigany, poszukiwany, ale z tego, co się zorientował, nie był to pościg o najwyższym napięciu. Czyżby jeszcze nie wiedzieli, kogo ścigają? Czyżby Andropow ogłosił desinteressement w jego sprawie? Dlaczego? Nie mieściło się to Lebediewowi w głowie.

Zastanawiał się nad możliwością piętrowej prowokacji. Niemniej cały czas posuwał się dalej i dalej. W Mińsku omal nie został zatrzymany. Ale był to jednak dowód bardziej na nadgorliwość miejscowego patrolu niż efekt wielkiej obławy.

Za to w Brześciu bez problemów skorumpował celników i, w zaplombowanym wagonie wiozącym zaopatrzenie dla Armii Czerwonej stacjonującej w podwarszawskim Rembertowie, przekroczył granicę Imperium.

* * *

Jurij Andropow nie mógł od razu włączyć się do spraw Siewierno–Uralskiego Ośrodka. Kiedy przybył do Workuty, otrzymał oczywiście wiadomość o wybuchu gazu w tajnym

obiekcie. Natychmiast, udając szczere zainteresowanie, kazał powołać grupę śledczą pod kierunkiem zaufanego generała Martynowa. Równocześnie wysłał na miejsce jednego ze swoich ludzi, Maszerskiego, który miał kontrolować kontrolujących i dzielić się bezpośrednio z Przewodniczącym wszystkimi ważnymi odkryciami. Ani Martynow, ani Maszerski nie mieli jednak pojęcia, co właściwie było przedmiotem studiów i analiz w tajnym Ośrodku.

Już po kilkunastu godzinach Andropow otrzymał listę poległych, rannych i zaginionych. Obejrzał ją w skupieniu. Gdy doszedł do pozycji 123: Lebediew — zabity i 014: Worobiow — ranny, przewieziony do balnicy, szeroki uśmiech pojawił się na chmurnej twarzy oberżandarma.

— A więc cholerny Łunienko jeszcze raz przeżył ten „prawdziwy koniec świata”? Tym lepiej, jeszcze kiedyś może się przydać.

Przez chwilę zastanawiał się, czy wysłać do Uchty Maszerskiego, ale zrezygnował. Jak go poinformowano, stan rannego był niezły, a nikt, nawet Maszerski, nie powinien orientować się w szczególnych względach Przewodniczącego dla jakiegoś Worobiowa.

Po dwóch bardzo uciążliwych dniach Andropow dotarł wreszcie późnym wieczorem na swoją podmoskiewską daczę. Czuł się zmęczony, ale przed snem chciał jeszcze rzucić okiem na ostatnią wersję „Korektury”. Jako dobry szef lubił znać wszystkie szczegóły.

Wyciągnął dyskietkę przygotowaną przez Lebediewa i razem z Antonem zszedł do swojej „mózgowni”.

Dacza Jurija Andropowa, w porównaniu z willami innych członków Biura Politycznego, prezentowała się nader skromnie. Wyjątek stanowiła głęboka piwnica, doskonale opancerzona, zaopatrzona w agregat prądowórczy, zbiorniki wody pitnej i komputer. Obok niego znajdowały się ekrany. Na większym Anton wyświetlił szefowi ogromną mapę globu pokrytą tysiącem wielobarwnych światełek, sygnalizujących komórki, w których jak korniki w drewnie działali ludzie KGB, GRU, SMERSZ-u czy jeszcze innych siatek Imperium. Na mniejszych ekranach można było wywołać dane personalne dowolnego obywatela ZSRR, członka którejś z lewicowych partii Zachodu lub choćby prominentniejszego człowieka z wybranego kraju.

Andropow należał do ludzi, dla których znacznie później wymyślono określenie: pracoholik. Lubił zabierać robotę do domu. Tu, na daczce, miał praktycznie skopiowane zasoby Łubianki. Teraz do kolekcji przybyła mu „Korektura”.

— Nu dawaj, Anton!

Asystent Przewodniczącego włączył komputer, nacisnął przycisk enter. I nagle stało się coś dziwnego. Rozległ się przeciągły pisk... Anton natychmiast nacisnął! stop, ale za późno. Wielka mapa na monitorze zaczęła znikać, całymi segmentami, najpierw zgasła Ameryka Północna, potem Południowa, dalej Afryka...

— Co się dzieje?

Upłynęło parę sekund zanim zdesperowany adiutant wyłączył całe zasilanie i wyrwał dyskietkę przygotowaną przez Lebediewa. Potem ponownie włączył komputer.

Ekrany ziały czernią.

— Co to znaczy, Anton?

Asystent próbował jeszcze uruchomić programy przeglądał różne pliki, ale jedyną informacją jaką uzyskiwał, było — skasowane.

— Co to znaczy, Anton? — Twarz Andropowa nabiegła krwią, a głos stał się chrapliwy.

Anton oczyma duszy zobaczył już pluton egzekucyjny w pobliskim brzozowym lasku. Wyprężył się i wyrecytował na wydechu.

— Melduję posłusznie, Towarzyszu Przewodniczący, że nie wiem.

— Co takiego?

— Nie wiem, w jaki sposób dokonał tego ten sukinsyn Lebediew, ale musiało być coś na jego dyskietce, czego nie zauważyliśmy w Ośrodku, co uruchomiło mechanizm kasowania wszystkiego, co było w pamięci komputera.

— I wszystko zostało skasowane? Całe moje archiwum?

— Wszystko. Informacje znikają, jakby zaatakowane przez wirusa.

Z ust pryncypała wydobył się nieartykułowany ryk. Oczy wyszły mu z orbit, nogi odmówiły posłuszeństwa.

— Wody — cicho jęknął i osunął się na kanapę.

— Wylew — przemknęło Antenowi i choć kochał Andropowa bardziej niż pies swoją miskę, tym razem nie mógł oprzeć się wrażeniu, że takie rozwiązanie może być dla wszystkich dużo lepsze.

VII

Zastępca radcy handlowego Ambasady USA w Warszawie obudził się z pierwszego snu dziwnie zdenerwowany. A on, wychowanek elitarnego college'u, o olśniewająco białych zębach i niezmiennie prawidłowym stolcu, nie denerwował się byle czym. Otworzył oczy. W sypialni było mroczno i cicho, zza okien dolatywało skrzypienie starych sosen i odległy, stłumiony hałas magistrali.

Wynajęta willa powinna być o tej porze całkowicie pusta, ale radca intuicyjnie czuł czyjaś obecność.

— Margaret? — zapytał bez przekonania, tak jakby łudził się, że żona nieoczekiwanie przerwała swój urlop na Hawajach.

Ale to nie była ona. Z cienia nieoczekiwanie wyłonił się jakiś mężczyzna i bezceremonialnie usiadł na krześle obok tapczana. Nie zdradzał żadnego podobieństwa dój żony. Margaret była drobną wielkobiustą brunetką. Intruz z mroku wyglądał na postawnego blondyna. Nie miał biustu, lecz ten brak rekompensował z naddatkiem niedbale trzymanym pistoletem z tłumikiem.

— Co pan tu robi? — wykrztusił obudzony.

— Proszę zachowywać się spokojnie. Nie mam najmniejszego zamiaru pana zabić. — Przybysz mówił po polsku znacznie lepiej od gospodarza. Ale już po tymi jednym zdaniu można było wyczuć ślady wschodniego rozlewnego akcentu.

— Ppan nie jest Polakiem? — wykrztusił radca. — Chce pan pieniędzy?

W półmroku błysnęły zęby nieznanego.

— Jestem Rosjaninem. Przyszedłem porozmawiać. Jeśli pan sobie życzy mogę mówić po angielsku.

Zachowywał się tak uprzejmie, że radca zaniepokoił się jeszcze bardziej i pomyślał o podręcznym pistolecie, który zwykle leżał w szufladzie nocnej szafki. Zwykle...! Teraz jednak szufladka była wysunięta na całą szerokość i prawdopodobnie dokładnie spenetrowana. Usiłując nadać swojemu głosowi maksymalnie spokojny ton Amerykanin powiedział:

— Musiała zajść jakaś pomyłka. Jestem zastępcą radcy handlowego, nazywam się Norman...

Znów błysk zębów i szybka kontra.

— Wiem, że nazywa się pan w istocie Coleman, podpułkownik Robert Coleman, szef specjalnej sekcji CIA w Polskiej Rzeczpospolitej Ludowej. I proszę nie zaprzeczać, ponieważ wiem o panu sporo, nawet o tej grzesznej miłości z chłopcem w Pradze, która stała się powodem pańskiego przeniesienia.

Spocony Coleman aż uniósł się na łokciach.

— Kim pan jest do cholery!?

— Moje prawdziwe nazwisko nic panu nie powie. Przyjmijmy więc, że zgodnie z dokumentami, którymi się posługuję nazywam się Worobiov, Nikołaj Worobiov. Sądzę, że musicie mieć wtykę w radzieckiej ambasadzie, więc nie sprawi wam specjalnej trudności dowiedzenie się, że właśnie ktoś taki jest poszukiwany w ZSSR i całym wschodnim bloku pod zarzutem dezercji, nielegalnego przekroczenia granicy, ciężkich uszkodzeń ciała funkcjonariuszy...

— Rozumiem. Chciałby pan naszej pomocy w przedostaniu się na Zachód — rzekł oddychając z wyraźną ulgą Coleman.

— Najpierw sam chciałbym wyświadczyć wam przysługę, która powinna uwiarygodnić mnie w waszej opinii, a jednocześnie wyjaśnić wzajemne stosunki.

— Przysługę?

— Dokładnie za trzy dni, wkrótce po przyjęciu w Międzynarodowym Stowarzyszeniu Filmowców, były gubernator Kalifornii Ronald Reagan dostanie ciężkiego ataku serca. Prawdopodobnie przeżyje, ale będzie musiał wycofać się z kandydowania do Białego Domu.

— Ależ Reagan nie zgłosił oficjalnie swojej kandydatury!

— Tym łatwiej przyjdzie mu się wycofać...

— Z pana tonu wynika, że nie będzie to zwykły atak serca?

— Nie, zbiegnie się to z wizytą bułgarskich filmowców i wypiciem pewnej dość specyficznej kawy. Osoba, która sporządzi tę niezwykłą mieszankę to niejaki Wyłko Iwanow, kierownik produkcji „Bałkan-Filmu”. Od wczoraj zamieszkały w Motor’s Inn w Pasadenie. Proponowałbym, żeby wasze służby przetrząsnęły jego bagaże.

Coleman otworzył z podziwu usta, mimo że przeszkolono go, aby się niczemu nie dziwił.

— Do licha! Jest pan albo jasnowidzem, albo hochsztaplerem, Worobiow...

— A może po prostu z racji obowiązków służbowych znam plany?

— Dlaczego w takim razie zdecydował się pan nam pomagać?

Lebiediew wstał.

— Przyjmijmy jedną zasadę w naszych kontaktach, panie Coleman. Nie zadajecie mi żadnych pytań, nie śledzicie mnie i nie staracie się mi niczego utrudniać. Sam, z własnej woli, mogę udzielić wielu bezcennych informacji, ale na moich warunkach. Czy to jasne?

Coleman kiwnął głową. Co innego mógł zrobić o trzeciej nad ranem bezbronnej oficer CIA na odległej placówce w Warszawie?

* * *

Sytuacja wyglądała na bezprecedensową. Coleman jako człowiek o stałym i dobrym mniemaniu o sobie nie lubił takich sytuacji. Nie podobała mu się ani wizyta nocnego gościa, ani jej przebieg, a już najbardziej sposób, w jaki Lebiediew opuścił willę. Po prostu otworzył balkonowe okno, zeskoczył z tarasu i zniknął w porannej mgle. Coleman zastanawiał się, czy tę wizytę zauważył tajniak SB od wielu miesięcy zajmujący drewniak vis-à-vis jego frontowych okien. Doszedł jednak do wniosku, że o tej porze komunistyczni tajniacy też śpią.

O świcie poirytowany podpułkownik dotarł do ambasady i z najlepszego, bezpiecznego pomieszczenia skontaktował się ze swoim szefem. Przekazał zaszyfrowany komunikat o nocnym gościu.

— Będę jutro — nadeszła odpowiedź z Langley. Następnie jako pilną przesłał informację o bułgarskich filmowcach i ich planach co do Reagana. Nastąpiła mała przepychanka na linii CIA-FBI, ale wszystko potoczyło się dobrze. Gdy czarnoskóra sprzątaczką, która nagle pojawiła się na drugim piętrze Motor’s Inn w Pasadenie odkryła w bagażu Wyłko Iwanowa spory zapas proszku mogącego wywołać wylew nie tylko u siedemdziesięcioletniego aktora, notowania Colemana w Centrali bardzo wzrosły.

Wprawdzie jakiś kalifornijski idiota chciał zwinąć od razu całą bułgarską ekipę, ale miejscowy major FBI, o inteligencji wyższej od przeciętnego posterunkowego, zdecydował, że dla bezpieczeństwa gubernatora zamieni się niebezpieczny proszek na coś zupełnie nieszkodliwego i spróbuje nakryć Iwanowa na gorącym uczynku.

Larry O’Connor, dystyngowany generał o ciężkim spojrzeniu faceta, który przesłuchiwał niejednego bolszewika, pojawił się w Warszawie w piękny czerwcowy wtorek.

Zaczął od konwencjonalnych podziękowań dla Colemana, skończył miażdżącą reprimendą.

— Jak mogłeś wypuścić tego człowieka?

— Miał mnie na muszce i wyskoczył przez okno...

— A automatyczna blokada otworów?

— Nie zdążyłem jeszcze założyć. Zresztą jak miałem z nim walczyć? Zjawił się z ważnymi informacjami, pełen dobrych intencji.

— I oczywiście nie wiesz, gdzie go szukać?

— Ma się do mnie odezwać.

— Świetnie. Złota rybka z KGB ofiarowuje nam swoje usługi, ale nie daje się złapać. I na dodatek nic nie wiemy, dlaczego to robi, jaki jest cel jej bezinteresownych działań!

— Wiesz tyle co ja, Larry. Słuchałeś nagrania z rozmowy.

— Dobrze, że chociaż magnetofon włącza się samoczynnie.

— Mamy też odciski palców Worobiowa. Przekazałem je do Centrali.

— Wiem, po pierwsze to nie jest Worobiow. Żaden ze stu piętnastu ludzi o tym nazwisku, których mamy w ewidencji, nie pasuje do rysopisu naszego ptaszka. Na szczęście sprawdzono przesłane przez ciebie odciski palców. I jest rezultat. Parę lat temu nasz agent, pseudo „Student”, próbował zbliżyć się do tego osobnika we Wrocławiu. Wówczas bez skutków. Lebediew był wtedy młodym, żądnym kariery czekistą.

— A więc nazywa się Lebediew!?

— Tak, Piotr Lebediew, lat dwadzieścia osiem, starszy lejtnant KGB, programista komputerowy dużej klasy. Z tego co udało się nam ustalić, pracował w jakiejś tajnej jednostce, ale nawet nasz człowiek na Łubiance nie potrafił określić jakiej.

— Superutajnienie?

— Mamy jeszcze parę faktów, być może nie bez związku z naszym „przyjacielem”. Tydzień temu nasze satelity doniosły o silnej eksplozji gazu na Uralu. Były doniesienia o sporej liczbie rannych w szpitalach na terenie Autonomicznej Republiki Komi. Oczywiście ani słowo na ten temat nie pojawiło się w radzieckich mediach. Według naszych danych, w miejscu eksplozji znajdował się jakiś obiekt będący pod szczególną ochroną sowieckiej bezpieki. Ale to nie koniec. Rzeczywiście od kilku dni trwa w Sowietach poszukiwanie niejakiego Worobiowa. Wewnętrzny komunikat milicji mówi o rannym, niezrównoważonym psychicznie osobniku. Podawany rysopis zgadza się z parametrami Lebediewa. Ważne, że pierwszy list gończy pochodzi z Uchty.

— Mógł tam uciec ze szpitala! Tylko dlaczego?

— To nie koniec rewelacji. Szefostwo dostało supertajną depezę od „Magmy”.

— Ten nasz człowiek pracujący na Kremlu?

— Powiedzmy w pobliżu. Andropow nie pojawił się na ostatnim posiedzeniu Biura Politycznego.

— Czyżby niełaska?

— Wiemy, że w dwie noce po eksplozji na Uralu obudzono w nocy kilku wybitnych kardiologów i neurologów, specjalistów od wylewów. Kogoś ważnego reanimowano w kremłowskiej lecznicy.

— Do licha, czyżby oberżandarm miał się przekreślić?

— Nie, wiemy już, że żyje i wraca do zdrowia. Ale w jakim jest stanie, tego nikt nie wie. Po wylewie jedni tracą władzę w kończynach, inni mowę.

— Uważasz, że ma to związek z Lebediewem?

— Jestem przekonany, że tak ważny krok jak planowany zamach na Reagana musiał być podjęty na samej górze. Wiemy jednak, że nie w Biurze Politycznym ani w szerokim składzie kierownictwa Bezpieczeństwa.

— Czyli?

— Trudno mi to wyjaśnić. Wygląda, że Przewodniczący Andropow zaczął akcje na własną rękę, a jeden starszy lejtnant mu w tym usilnie przeszkadza. Tak czy siak, kluczem do wszystkiego jest Lebediew, i twoja głowa Bob, żeby jak najszybciej znalazł się w naszych rękach.

VIII

Piotr Lebidiew wiedział oczywiście, jakie ryzyko wynika z nawiązania przez niego kontaktów z Amerykanami, ale nie miał wyjścia. W odróżnieniu od Łunienki nigdy nie był na Zachodzie, toteż nie miałby tam żadnych szans w rozgrywkach z najemnymi mordercami.

Co innego w ZSRR czy nawet Polsce. Tu czuł się jak u siebie. Nie mógł wprawdzie odnowić kontaktów ze swoją rodziną, ale miał bardzo dobre dokumenty na nazwisko Andrzeja Krzyskiego z Wrocławia i do tego sporo pieniędzy. Zadbął o zmianę swojej aparycji i bez żadnych trudności zameldował się w dość zresztą podłym hotelu MDM na placu Konstytucji. Lekko zgarbiony, szpakowaty facet z workami pod oczami, cuchnący mieszanką „Przemysławki” i przetrawionej wódeczki nie odbiegał wyglądem od standardowego Polaka „na delegacji”.

Poza tym sprzyjało mu szczęście. Dość łatwo nawiązał kontakt z Colemanem (wystarczająco szybko, aby ocalić Reagana) i teraz miał półtora tygodnia do kolejnej akcji przeciw „Korekturze”. Trochę się trapił, że w swoich działaniach musi opierać się wyłącznie na pamięci. Nie mógł sięgnąć do bezcennych danych ze swojej taśmy. Dopiero komputer mógł z dźwiękowego nagrania wydobyć właściwy tekst. Niestety, w 1978 roku profesjonalne komputery nie należały w Polsce do sprzętu, który można było kupić w sklepie „1001 drobiazgów”.

Atoli już następnego dnia po rozmowie z agentem CIA, idąc przez plac Jedności Robotniczej, natknął się na Pawła Mireckiego, kolegę ze studiów we Wrocławiu, wówczas fanatyka komputerowego jak on. Paweł nie rozpoznał go, zresztą konwersował zaciekle z jakąś przystojną studentką. Gdy się rozstali, Lebidiew podążył za dziewczyną dość łatwo nawiązał z nią znajomość. Mimochodem zapytał o ostatniego rozmówcę. Mirecki, jak się okazało, był już adiunktem na jednym z wydziałów Politechniki Warszawskiej i zajmował się najnowszymi generacjami komputerów.

Piotr zaryzykował dekonspirację, szybko powrócił do j swojego prawdziwego wyglądu i odszukał Mireckiego w stołówce profesorskiej. Ten rozpoznał go natychmiast, j pokazał mu swoje laboratorium, a później zaprosił do domu. Mieszkał z młodą żoną w pobliskim hotelu asyntenckim. Wieczorem w trójkę popili ostro, wspominając studenckie czasy. Lebidiew przedstawił się jako uczestnik delegacji rządowej ZSRR na jakąś naradę w ramach RWPG. Mirecki, członek partii, choć prywatnie zaciekle antykomunista, nie dążył do rozmów na ten temat.

Koło północy umiejętnie zaaplikowane pastylki sprawiły, że gospodarze posnęli jak aniołki. Piotr zabrał od Mireckiego klucze i pomknął na Politechnikę. Sforsowanie awaryjnych drzwi nie sprawiło mu trudności, podobnie jak dotarcie do pracowni i uruchomienie aparatury. Trzy godziny spędził przy monitorze docierając do zaszyfrowanego tekstu. Potem przesłuchał go trzy razy odświeżając pamięć. Lekko się zdenerwował, kiedy dostrzegł, że również zamach na profesora Brzezińskiego został przewidziany na czerwiec. Nie na lipiec, jak mu się dotąd wydawało.

Gdy powrócił do hotelu asyntenckiego Mireccy nadal spali. Półnaga Elżbieta wyglądała nawet dość ponętnie, ale Lebidiew nie lubił wykorzystywać łatwych sytuacji. Przewrócił stół, obudził gospodarzy i zaczął się czule żegnać.

— Wybacz, Piotr, urznąłem się jak świnia — bełkotał Paweł.

A Elżbieta przewróciła się tylko na drugi bok.

— Jak spotkanie, to spotkanie — powiedział filozoficznie Lebidiew.

W bramie ściągnął jasną perukę, podmalował oczy, nałożył okulary, zgarbił się i podreptał do hotelu. W recepcji dwie dziewczyny i portier popijali herbatkę. Po chwili pojawiła się

trzecia — telefonistka z centrali. Ładna, świeża panienka z buzią jak maślana bułeczka. Piotr puścił do niej oko i poczłapał do pokoju.

W kwadrans później odebrał telefon.

— Czy pan zamawiał budzenie? — szczebiotała „bułeczka”.

— Nie, wręcz przeciwnie, mam kłopoty z zaśnięciem.

— Nie mogę wyjść z centralki, ale... — głosik zawahał się — mogłabym opowiedzieć panu bajkę.

— A może to ja pani opowiem?...

— Proszę, drzwi nie są zamknięte.

Piotr obawiał się trochę, że może zdradzić go akcent, ale miał przygotowaną na wszelki wypadek wersję, że jego rodzina była repatriantami ze Lwowa i przybyła do Wrocławia dopiero w latach sześćdziesiątych... Zresztą jak się okazało, nie musiał wcale rozmawiać.

Rano z automatu zatelefonował do Colemana. Radca nie ukrywał swojej radości. Lebidiew wspomniał o kopercie, którą na nazwisko Kwiatkowski zostawił u szatniarza w pobliskim Klubie Aktora. Było tam zdjęcie Piotra potrzebne do wyrobienia amerykańskiego paszportu na dowolne personalia. (Lebidiew miał — rzecz jasna — paszport Łunienki wystawiony niejakiemu Richardowi Owensowi z Cleveland, ale nie zamierzał się tym chwalić. Wolał, aby CIA upewniła się, że jest od niej w pełni zależny).

— Kiedy się spotkamy? — zapytał zniecierpliwiony Coleman.

— Jutro, kiedy przygotowujecie dokumenty.

— Nie wiem, czy zdążę.

— Jutro o 16.00 na najwyższym piętrze Pałacu Kultury — stwierdził kategorycznie Piotr i odwiesił słuchawkę.

* * *

— Mamy go — ucieszył się Larry O'Connor. — Kiedy spotka się z tobą dodamy mu „ogonek”, którego już nie zgubi. Poznamy jego ścieżki i kryjówki, a potem w odpowiednim momencie capniemy.

— Chciałbym mu na razie pozostawić pewną swobodę ruchów, niech nabierze do nas zaufania... — oponował Coleman.

— Jaki czekista może mieć zaufanie do człowieka z CIA?

— Daj mi spróbować. I niech nasi ludzie działają ostrożnie.

O'Connor nie dysponował w Warszawie licznym personelem. Na spotkanie z Lebidiewem ściągnął wszystkich, których miał. Jeden agent czuwał przy windach, drugi przy głównym wejściu do PKiN, dwóch w samochodach zaparkowanych przed Teatrem Dramatycznym. Sam O'Connor pojechał na górny taras, z bardzo czułą anteną kierunkową w teczce. Z kilkudziesięciu metrów mógł nagrywać każdą rozmowę.

Coleman przyjechał punktualnie o 16.00. Wbiegł na schody usytuowane centralnie pod neonem, który nieudolnie przykrywał wyżłobione w piaskowcu imię i nazwisko dobroczyńcy ludzkości, Józefa Stalina. Kiedy zamierzał wejść do środka średniej urody, wysoka kobieta wzięła go pod ramię.

— Przespacerujemy się — powiedziała.

— Worobiov?... Wykrztusił agent. — Nie jedziemy na górę?

— Nie, spacer lepiej nam zrobi.

Ominęli skrzydło pałacu, w którym mieścił się Teatr „Lalka” i podeszli do oczekującej taksówki.

— Na Tamkę! — powiedział głośno Piotr. Coleman dostrzegł kątem oka, jak zza rogu wyłania się jeden z samochodów O'Connora. Ruszyli. Żółty, odrapany fiat trzymał się w

bezpiecznej odległości za taksówką. Lebidew milczał, ale kiedy dojechali do Traktu Królewskiego dał taksówkarzowi krótkie polecenie:

— Teraz w Nowy Świat!

Coleman przełknął ślinę. „Ogon” został zgubiony. Nowy Świat, najelegantsza ulica późnogierkowskiej Warszawy od pewnego czasu była zamknięta dla prywatnych samochodów osobowych.

Wysiedli przy Wareckiej i skręcili w gmatwaninę pasaży, zaułków i podwórek.

— Co to wszystko znaczy? Nie ufa nam pan, Worobiov? — powiedział poirytowany agent.

— Powiedzmy, jestem ostrożny? Ma pan dla mnie paszport?

— Oczywiście. Ale co z dalszymi informacjami dla mnie?

— Są. W przyszły wtorek jest planowany zamach na profesora Zbigniewa Brzezińskiego.

Coleman cichutko zagwizdał. Lebidew kontynuował.

— Profesor udaje się tego dnia na wykład do Akademii West Point, samochodem z Nowego Jorku. Na Palisade Interstate Park Way, nie dojeżdżając do Englewood, mijający go szofer potężnej chłodni straci nagle panowanie nad kierownicą i straci wóz profesora z autostrady. — W tym momencie Piotr przerwał i z pewną satysfakcją obserwował pobladłą twarz Amerykanina. — Prawdopodobnie waszym ludziom powie coś nazwisko Tino Mori. Ma on warsztat samochodowy w pobliżu Jamaica Avenue i i opinię najlepszego fachowca od katastrof samochodowych na zachodniej półkuli. Rano, we wtorek, Tino będzie oczekiwać ze swoją chłodnią w motelu Seacaucus na informację z Manhattanu, jakim wozem pojedzie profesor. Stamtąd; wyruszy na śmiertelny rajd. — Tu jeszcze raz urwał i; spojrzął na zdumionego Colemana. — Te informacje powinny wam wystarczyć. Założenie podsłuchu w warsztacie i i motelu też nie sprawi wam chyba problemu. A zdjęcie samochodu na drodze to również nie jest problem.

— Ale kto? — wykrztusił po chwili Coleman. — Kto za tym stoi i po co to wszystko robi? Andropow?

Lebidew pokręcił głową

— Proszę nie zmieniać reguł gry, Coleman. Teraz; najważniejsze ocalić bezcenną profesorską główkę, nieprawdaż? Odezwę się za kilka dni. A na razie żegnam.

Piotr skręcił z ulicy Rutkowskiego w jakąś bramę i wtopił się w tłum. Coleman, ciągle pod wrażeniem spotkania, ruszył przed siebie. Pod kawiarnią „Szwajcarska” czekał na niego O’Connor.

— W porządku — generał klepnął agenta w ramię.

— Jak to w porządku? Przecież wywiódł nas w pole!

— Bez przesady. Owszem, jego pomysł skręcenia w Nowy Świat był niezły, ale zabezpieczyłem się i na taki wariant. Cały czas miałeś przy sobie impulsator wskazujący nam, gdzie jesteście. Dick od dziesięciu minut siedł za wami. Potem skręcił za Lebidewem. Dalej naszego „czekistę” przejmą George i Maud.

W dwie godziny później O’Connor był w jeszcze lepszym humorze.

— Mamy ptaszka! — zawołał nalewając drinka Colemanowi. — Zamieszkał w hotelu MDM jako Andrzej Krzyski. Już go nie zgubimy.

— Świetnie — ucieszył się podpułkownik.

— To jeszcze nie koniec ciekawych wiadomości. George idąc za Rosjaninem zaobserwował, że Lebidew zaszedł do Orbisu na Brackiej. Mike zajął miejsce w kolejce tuż za nim.

— Wybiera się w podróż?

— Kupił miejscówkę do Krakowa na najbliższą środę.

— Ciekawe. Z tego co wiem, tego dnia nie dzieje się tam nic ważnego, żadnych międzynarodowych wizyt, delegacji, a w czwartek jest święto.

— Jakie święto? — zainteresował się generał.

— Jako katolik powinien być pan zorientowany lepiej ode mnie — Boże Ciało. Szansa do największych legalnych demonstracji pod gołym niebem dla nie skomunizowanych Polaków.

— Wiem, Kraków to ośrodek niezwykle żywej opozycji. Przypuszczasz, Bob, że może dojść do jakichś poważniejszych wystąpień?

— Sądzę, że powinniśmy być na miejscu i nie spuszczać z oczu Lebediewa.

— Tak — zgodził się O'Connor — i zabrzmiało to bardzo poważnie. — Jeszcze jedno, rozmawiałem przed chwilą z Waszyngtonem i dowiedziałem się czegoś zdumiewającego. Brzeziński miał mieć wykład w West Point w poniedziałek. Dopiero godzinę temu poinformował, że przekłada go na wtorek. W poniedziałek ma w Nowym Jorku pogrzeb zmarłego wczoraj przyjaciela.

— Jak to? — zdumiał się podpułkownik. — To znaczy, że Lebediew wiedział o zmianie terminu wykładu jeszcze przed Brzezińskim? Jak to możliwe?

— Nie wiem, jak to możliwe, ponieważ do tej pory nie wierzyłem ani w magię, ani antycypację. Wygląda jednak na to, że nasz przyjaciel zna nie tylko plany KGB, ale orientuje się również w ich rezultatach, słowem — zna przyszłość... Uważam, że powinniśmy go natychmiast zdjąć i przesłuchać.

— Pozwól mu, Larry, pojechać do Krakowa. Być może zobaczymy go w akcji, a potem będzie twój.

— Ustąpię ci, Bob, ale pamiętaj, ostatni raz.

* * *

Morze głów wypełniało krakowski rynek. Dzwony dudniły jak oszalałe podrywając ponad atykami Sukiennic gromady gołębi. O'Connor, który zajął stanowisko na mansardzie wysokiej kamienicy, obserwował czoło procesji, łopoczące chorągwie, wreszcie baldachim, a pod nim niosącego złocistą monstrancję arcybiskupa Krakowa. Karol Wojtyła miał spore dossier na swój temat w CIA, ponieważ było prawie pewne, że po śmierci kardynała Wyszyńskiego obejmie stanowisko prymasa Polski. Wprawdzie mógł liczyć się z opozycją i to nie tylko komunistycznej władzy, która poniewczasie żałowała swojej zgody na ingres biskupi młodego stosunkowo księdza, ale również najbardziej konserwatywnych kół Episkopatu, dla których był zbyt przebojowy.

Generał odszukał stojącego pod Sukiennicami Colemana, jednego z pięciu ludzi, których rozstawił na rynku. Szósty, George, nie odstępował Lebediewa na krok. Sygnał z impulsatora wskazywał, że obaj znajdowali się w najgęstszym tłumie, w pobliżu baldachimu i hierarchy.

— Co ten Rosjanin zamierza? — głowił się Larry.

Przesuwając lornetkę po twarzach ludzi zatrzymał się na mężczyźnie, który wysunął się przed Sukiennice i stał nieruchomo opodal miejsca, gdzie od wieków wisiał nóż, którym jeden z budowniczych wieży Mariackiej miał zamordować swojego brata, konstruktora drugiej wieży. Osobnik był korpulentny, ubrany niedzielnie i chyba bardzo zapobiegliwy, ponieważ mimo bezchmurnego nieba zawiesił sobie na przedramieniu parasol. Zapewne krakusik wyznawał starochińską zasadę — „Parasol noś i przy pogodzie”. Ogarnęły go już pierwsze szeregi procesji, ale zamiast pójść razem z tłumem mężczyzna stał nieporuszony. Przeżegnał się, kiedy mijał go krzyż, ale generał pochodzący z pobożnej irlandzkiej rodziny zauważył, że zrobił to jakoś zbyt gorliwie, zbyt teatralnie. Larry nie mógł oderwać oczu od tego człowieka. Kiedy jednak zasłoniły go kościelne chorągwie generał odszukał w tłumie Lebediewa. Rosjanin szedł o dwa kroki od mężczyzny niosącego jeden z trzonek baldachimu. Był czujny jak zawodowy ochroniarz. Jego oczy pracowały nieustannie. Czyżby się czegoś obawiał?

Przy Sukiennicach zrobił się jeszcze większy ścisk. Mężczyzna z parasolem znalazł się już w głównym nurcie procesji. Od kardynała Wojtyły dzieliły go już tylko dziewczynki sypiące kwiaty. Zrobił jeszcze dwa kroki i naraz upuścił parasol. Natychmiast pochylił się, aby go podnieść. Ale Lebediew był pierwszy. Chwytał rączkę i wymacał ukryty w niej cyngiel wiatrówki. Grubasek twardo chwycił za drugi koniec, drugą rękę wsunął za pazuchę płaszcza.

— Astarożno — syknął przez zęby Piotr. Słyszac język rosyjski, właściciel parasola zdębiał. To go zgubiło. Lebediew uruchomił spust, z czubka parasola wystrzeliła igiełka i wbiła się prosto w gardło grubaska.

Ten tylko dziwnie zabelkotał...

Wszystko trwało może trzy sekundy. Larry ze swojego punktu mógł jedynie zobaczyć, jak Lebediew cofa się w tłum, a tęgi mężczyzna chwieje się na nogach. Nikt niczego nie zauważył. Ani rozśpiewani ludzie, ani straż porządkowa, ani żaden z księży. Niedoszły zamachowiec krztusząc się i łapiąc powietrze dobrnął do muru i tam osunął się na ziemię. Procesja poszła dalej.

— Wojtyła? — przemknęło O'Connorowi. — Katolicki hierarcha miał być trzecią ofiarą Andropowa. Ale jaki to mogło mieć sens?...

Tymczasem Lebediew wydostał się z tłumy i zniknął w pobliskiej bramie. Drogę na podwórko uniemożliwiały zamknięte drzwi. Przygotowany na tę okoliczność wyciągnął klucz. Kiedy zadyszany Mike wpadł do bramy, Piotr już zamykał drzwi z drugiej strony.

Pięć minut potem krakowskie Planty przekroczyła dziarska, postawna zakonnica. Wsiadła do tramwaju...

O'Connor szalał. Również Coleman dwoił się i troił. Nieliczna ekipa amerykańska obstawiała dworce — Główny i Płaszów, lotnisko w Balicach. Sam Coleman warował i przy dworcu autobusowym. Wszystko na nic. Lebediew jakby się rozplynał. Może gdzieś się ukrył?

Do hotelu „Pod Różą”, gdzie zostawił pustą walizkę i swój polski dowód osobisty już nie wrócił. Nie opuścił również miasta żadnym publicznym środkiem lokomocji.

— Straciliśmy go — warczał Larry. — Dobrze, że nie poinformowałem centrali, jakiego to ptaszka mieliśmy w ręku.

— Może się jeszcze odezwie — pocieszał się Coleman. — Mam informatorów w całym kraju. Spróbujemy go namierzyć... Poza tym, jeżeli zechce z naszym paszportem przedostać się do któregoś z krajów Wspólnoty, Interpol zatrzyma go dla nas.

— A jeśli po wykonaniu zadania, którego sensu nie rozumiemy, wróci do Rosji?... Cała nadzieja, że wyciśniemy coś z Tino Moriego.

W tym samym czasie na skraju miasta gadatliwy kierowca wywrotki zabrał z pobocza wysoką zakonnice. Chciała jechać do Katowic. Szofer obiecał dowieźć ją do Olkusza, skąd powinna znaleźć dalszą okazję.

Oczywiście Śląsk nie był celem Lebediewa. Zakładał jednak, że ludziom O'Connora nie przyjdzie do głowy szukać go w katowickim ekspresie zdążającym do Gdańska.

IX

Atak Przewodniczącego okazał się mniej groźny niż wyglądało w pierwszej chwili. Jeszcze tej samej nocy konsylium kremlowskie stwierdziło, że szef Komitetu Bezpieczeństwa będzie żyć, musi tylko wypocząć. I po dwóch dniach Andropow poleciał na Krym. Na „Korekturę” nie miał wpływu, zamierzał więc poczekać i zobaczyć, jak spiszą się ludzie Łunienki. Gdyby wszystko się udało, wówczas sam spróbowałby usunąć Breżniewa i Susłowa.

Na Krymie dopadła go wiadomość o zniknięciu „Worobiowa”. Zdumiał się. Łunienko nie miał najmniejszego powodu, żeby uciekać ze szpitala, nie przekazując mu na ten temat informacji. Jako jedyny znał numer telefonu na daczę Przewodniczącego (zainstalowany specjalnie do kontaktów z nim).

Sprawa stała się jasna, gdy zapoznał się z rysopisem Pacjenta z Uchty.

— Szkoda, że Lebediew postanowił zdradzić — pomyślał z goryczą Andropow. — Ma „pareń” pomysły! Zamienić swoje dokumenty z papierami Łunienki.

Oczywiście natychmiast zażądał informacji o losie zwłok znalezionych i określonych jako „Lebediew”. Otrzymał odpowiedź: „Po identyfikacji zostały skremowane”.

Andropow przyjął wiadomość apatycznie. Ciągle czuł się źle i najwięcej uwagi poświęcał swojemu zdrowiu. Może uznał „Korekturę” za przegraną? Chory, pozbawiony danych, nie mógł nawet ostrzec ludzi Łunienki, by zmienili plany. Nakazał jedynie pilniejsze poszukiwanie Lebediewa. Wszystko wskazywało na to, że skierował się do Polski. Należało zbadać miejscowe kontakty Piotra z czasu studiów, a także roztoczyć silniejszą obserwację nad rezydenturami obcych wywiadów w Warszawie — w grę wchodziłi Amerykanie, Niemcy, Anglicy i Francuzi.

* * *

W podmoskiewskiej daczce Andropowa pozostał na stanowisku Anton. Gdy pierwszy gniew minął Przewodniczący wybaczył sekretarzowi mimowolne zniszczenie archiwum. Któż zresztą mógł przewidzieć wirusa komputerowego o opóźnionym działaniu, którego spreparował dla nich Lebediew.

Tymczasem Anton miał jeszcze inny grzech na sumieniu. Choć pozornie niemy i wierny jak pies, posiadał, właściwą ludziom inteligentnym, dużą dozę ciekawości. I dlatego w tajemnicy przed szefem zapoznał się ze szczegółami tak „Prognozy”, jak i „Korektury”. I początkowo plany bardzo mu się podobały. Jednak w którymś momencie znalazł przewidywania dotyczące jego własnych losów. W wersji „normalnej” miał w latach dziewięćdziesiątych zostać za rządów prezydenta Jelcyna jednym z szefów tajnych służb, według „poprawionej”, po krótkotrwałym gubernatorowaniu podbitej Francji, czekała go śmierć z rąk miejscowego ruchu oporu na drodze do rezydencji w Fontainebleau.

I to mu się nie podobało. Toteż kasając dane przyjął z ulgą jako naturalny koniec programu, zwłaszcza gdy na podstawie nadesłanego z Uchty rysopisu stwierdził, że poszukiwany Worobiew nie jest Łunienką, tylko dziwnie pasuje do rysopisu Lebediewa. Informacje na ten temat posłał szefowi na Krym z opóźnieniem, podobnie jak przeciek z CIA o udaremnieniu zamachu na Reagana.

Po reakcji szefa na te wiadomości Anton miał pełne prawo spodziewać się, że to już koniec sprawy. Mylił się niestety.

* * *

Część zwłok z Siewierno–Uralskiego Ośrodka przetransportowano na poligon w Peczorze — tu próbowano dokonywać identyfikacji. Podczas odgruzowywania i w trakcie akcji wyładunkowej panował ogromny bałagan, nie dziw więc, że zdarzały się pomyłki.

I tak pokrwawioną bluzę z nazwiskiem Lebediew przypisano do ciała jasnowłosego sierżanta, dowódcy patrolu ochrony, przygniecionego odłamkami o kilkadziesiąt metrów od miejsca pojedynku Piotra z Łunienką. Zaś identyfikator sierżanta znalazł się jakimś cudem przy potężnych zwłokach arcymordercy. Blondyn nazywał się Witalij Masłow i pod tym nazwiskiem przewieziono Łunienkę do baraku zastępującego kostnicę.

Nazajutrz miano wszystkich pogrzebać.

Młodziutki Aram Abegian pilnujący baraczku śmiertelnie bał się zmarłych. Nigdy dotąd nie widział tylu trupów. Nie przewidywał, że za parę lat sam stanie się ofiarą rzezi w Pansirze, a afgańscy mudżahidini zabijają, aby umierał długo i boleśnie.

Na razie był młodym komsomolcem z Erewanu, pełniącym swoją pierwszą służbę. Tkwił przy baraku i dygotał. Noc była chłodna. Księżyc oświetlający surowy pejzaż tajgi przywodził mu na myśl stare opowieści o upiorach, strzygach i wampirach powstających nocą z grobów.

W dali zahukała polarna sowa. Zadrżał. A potem zganił się w duchu.

— Czego ja się właściwie boję? Trup jest trupem. Białkowym urządzeniem, w którym wyłączono mechanizm.

I już zdrowe marksistowskie pojęcie miało zatriumfować w umyśle młodego Ormianina, gdy z wnętrza baraku dobiegło skrzypięcie. Zdrętwiał. Włosy stanęły mu dęba.

— To musi być wiatr — odpowiedziała racjonalistycznie komsomolska część duszy.

Na nieszczęście noc była bezwietrzna. A skrzypięcie powtórzyło się. Aram z trudem powstrzymał się przed ucieczką. Zastanawiał się, co robić? Podnieść alarm i... ośmieszyć się? Powody skrzypięć mogły być zgoła prozaiczne. Już w trakcie akcji ratunkowej złapano żołnierza, który ściągnął paru zmarłym obrączki. Do baraku mógł więc zakraść się kolejny złodziejasek nieświadom, że prócz ciał i prześcieradeł nie pozostało tam już nic.

Abegian otworzył drzwi i zapalił latarkę. Leżące pod prześcieradłami zmasakrowane ciała wyglądały spokojnie i banalnie. Ormianin oświetlał kolejne rzędy, zaglądał pod prycze... Nikogo!

Ale oto i przyczyna szmeru. Z jednego z ciał zsunęło się prześcieradło. Aram oświetlił kartkę przyszpilowaną do stopy, potem przeniósł blask latarki na korpus i głowę denata oznaczonego jako Witalij Masłow. I wtedy w pokrytej zakrzepłą krwią twarzy–masce powoli otworzyło się jedno oko!...

* * *

Wiadomość, że jeden z uznanych za zabitych — Witalij Masłow — ożył, nie wzbudziła wielkiego zainteresowania Martynowa, nie wywarła też większego wrażenia na Antonie. Zmienił się tylko bilans w tajnym raporcie określający liczbę zmarłych, rannych i zaginionych.

„Witalija Masłowa” poddano intensywnej reanimacji i ku zdumieniu lekarzy każdy kolejny dzień wskazywał, że jednak przeżyje. Kula, która zmasakrowała mu twarz, nie uszkodziła mózgu. Po tygodniu odzyskał przytomność. Nie prostował, kiedy mówiono do niego „towarzyszu Masłow”.

Po dwóch tygodniach podniósł się z łóżka. Niezgrabnie kuśtykał z nogą i ręką w gipsie. Wcześniej przeanalizował całą sytuację. Domyślił się, że Lebediew przeżył, a przypadkowa pomyłka z Masłowem sprawiła, że i Lebediewa uznano za zmarłego.

— Umarłem po raz drugi, do trzech razy sztuka — uśmiechnął się w duchu.

Odwiedzającym go lekarzom skarżył się na zaniki pamięci. To samo twierdził podczas rozmowy z Martynowem. Generał przesłuchiwał go krótko i szybko pożegnał, kiedy zorientował się, że sierżant Masłow niewiele wiedział o ośrodku, do którego straży należał, a katastrofę charakteryzował lakonicznie: „nagły, niesamowity wybuch”.

Tylko przez moment, kiedy wpatrywał się w zmasakrowaną twarz Łunienki, dowódcy zdawało mu się, że kiedyś już widział tego człowieka. Wasyl wstrzymał oddech, to przecież generał przed laty przemawiał na jego pogrzebie. Jednakże Martynow nie skojarzył, zwłaszcza że miał teraz inne ważne sprawy do załatwienia.

Chodzenie przychodziło Wasylowi z dużym trudem. Ale już pierwszego wieczoru, kiedy wstał udało mu się dotrzeć do telefonu. Wykręcił zastrzeżony numer daczcy Andropowa. Odezwała się automatyczna sekretarka.

— Tu „Gronostaj”, żyję — rzekł krótko i podał numer telefonu szpitala w Peczorze.

* * *

„Tu »Gronostaj«, żyję” — Anton przesłuchał nagranie co najmniej pięciokrotnie i pot zrosił jego wysokie, arystokratyczne czoło. Szatan Łunienko jeszcze raz okazał się nieśmiertelny.

Adiutantowi stanęła w wyobraźni wizja zdarzeń za lat piętnaście — droga przez cienisty las w Fontainebleau, wybuch bomby i dobijanie go w zaroślach przez małoletnich Francuzów...

Wybrał jedyne możliwe rozwiązanie. Polecił zmienić zastrzeżony numer na daczę i następnie odszukał Zoję.

Zoja Eskina należała do małej grupki ludzi pracujących dla Przewodniczącego poza strukturą KGB. Oficjalnie była już na emeryturze. Anton odnalazł ją w niedużym mieszkaniu na Prospekcie Kalinina.

— Jest robota na zlecenie szefa. Mokra.

Oczy starszej pani zabłysnęły. Tak musiały chyba błyszczeć, gdy jako pielęgniarka pomagała schodzić ze świata wybitnym, acz niewygodnym Wielkim Komunistom (Anton, choć działał się to jeszcze przed jego urodzeniem, przypuszczał, że Zoja musiała maczać palce w śmierci Dymitrowa czy Togliattiego).

— Sprawę trzeba załatwić jak najprędzej. „Obiekt” jest pacjentem naszego szpitala w Peczorze — Witalij Masłow, sierżant KGB... Ciężko ranny. To powinno wyglądać na normalny zgon.

— Rozumiem. I cieszę się, że mogę być znowu przydatna Towarzyszowi...

— Bez nazwisk! Służycie Partii i naszej Wielkiej Ojczyźnie.

— Wyruszę jutro.

— Po wykonaniu zadania dostaniecie przydział na wypoczynek w Suchumi.

Staruszka uśmiechnęła się. Anton szybkim siorbnięciem dopił herbatę, wstał, pożegnał się, ale w drzwiach odwrócił się i rzekł do sędziwej czekistki:

— Uważajcie, on jest bardzo niebezpieczny.

— Niebezpieczny? — Staruszka zaniosła się długim, nieprzyjemnie ostrym śmiechem.

* * *

Bezsilna wściekłość. Tak najkrócej można by scharakteryzować emocjonalny stan generała O'Connora.

— Zgubiliśmy go dzięki waszym pomysłom, Coleman!

Normalna pewność siebie, którą tak chętnie okazywał swoim podwładnym, zupełnie opuściła podpułkownika.

— Nie traciłbym nadziei, uruchomiłem swoich ludzi w całym kraju — tłumaczył.

Larry potarł palcami przekrwione oczy.

— A ja dostałem wiadomość ze Stanów. Zarówno ten Bułgar — Wyłko Iwanow, jak i Tino Mori nie mieli żadnych powiązań z KGB. Owszem, obaj tkwili po uszy w różnych ciemnych interesach. Iwanów cieszył się renomą „bułgarskiego łącznika” na szlaku haszyszowym. Moriemu przypisuje się co najmniej kilkanaście morderstw... Słowem byli to zawodowcy, ludzie do wynajęcia przez każdego, kto dysponował wystarczającą forszą.

— Ktoś ich jednak wynajął!

— Tak. Bułgara kupił niejaki Lion Blumenbaum z Brazylii, podający się za przemysłowca zainteresowanego inwestycjami w przemyśle filmowym. Przez dwa dni mieszkał w Nowym Jorku w hotelu Plaża. Został sprawdzony. Okazało się, że istnieje ktoś taki jak Blumenbaum i mieszka w Kurytybie, ale od dwóch lat jest sparaliżowany i nie wychyla nosa z Brazylii.

— A facet, który angażował Moriego?

— W odróżnieniu od łysiego, korpulentnego Blumenbauma, był wysokim, kościstym rudzielcem o nazwisku Hans Meyer. Mori usiłował się czegoś o nim dowiedzieć, ale jedynie stracił swojego człowieka.

— Czy to możliwe, że Blumenbaum i Meyer to ta sama osoba?

— Być może. Charakterystyczny jest dość wysoki wzrost. Reszta była zupełnie inna. Meyer mówił z wyraźnym niemieckim akcentem, Blumenbaum żydłaczył.

— Ale to o niczym nie świadczy. Tajemniczy X może być świetnym aktorem.

— Czy mógł to być Lebidiew?

— Wątpię. Nasz X jest od niego znacznie starszy, i poza tym włada doskonale obcymi językami. Angielski naszego przyjaciela jest bardzo szkolny. Ponadto udało mi się wywnioskować, że nigdy dotąd nie przebywał w wolnym świecie.

— Pozostaje więc konkluzja, że X i Lebidiew mogą być w stanie wojny?

— O ile jeszcze X żyje. Może być tak, że Andropow najpierw wysłał X-a, a obecnie kazał Lebidiewowi udaremnić pierwotny plan. Niestety są to jedynie spekulacje.

— Moje informacje też niewiele posuwają sprawę —wzdycha Coleman. — Przed wyjazdem z Krakowa skontaktowałem się z moim człowiekiem w tamtejszej Służbie Bezpieczeństwa.

— No?

— Już wiedzą kto był niedoszłym zamachowcem na rynku. Niejaki Turczak. Krzysztof Turczak, kapitan warszawskiej centrali SB, aktualnie na urlopie. Zatrudniony w wydziale zajmującym się inwigilacją duchowieństwa.

— No to mieliby Polacy pasztet, gdyby wyszło na jaw, że ktoś taki chciał stuknąć katolickiego hierarchę...

— Turczak przebywał na urlopie. Jechał do domu wypoczynkowego MSW w Zakopanem. Nie miał współników. Wiele wskazuje na to, że został wynajęty do indywidualnej akcji. Również śmiertelny parasol też nie należał do wyposażenia polskiego resortu, a w bagażu zamachowca, w hotelu znaleźli 3000 dolarów. W Polsce to majątek.

— Masz niezłych informatorów, Bob.

— Robię, co mogę.

— Ale Lebediewa zgubiłeś i teraz jesteśmy w kropce...

Larry i Robert rozmawiali w limuzynie, którą wracali z Krakowa do Warszawy. Po powrocie w ambasadzie USA czekała ich miła niespodzianka. Lebediewa rozpoznano na dworcu kolejowym w Gdańsku, gdy wysiadał z opóźnionego ekspresu przybyłego z Katowic.

* * *

Dotąd wszystko szło doskonale. Aż za dobrze. Trzy zworniki dziejów pozostały nietknięte. Piotr mógł żywić nadzieję, że i czwarty ochroni bez większego trudu. Do terminu następnego zamachu pozostał jeszcze tydzień.

Przykryty płaszczem, w kącie przedziału, na wpół drzemał, na wpół rozmyślał. Czuł się znakomicie. Uciekł z łap KGB, oszukał osławioną CIA, w skrytce w Warszawie zachomikował pieniądze, kostiumy Łunienki i wspaniałą kolekcję paszportów. Umieścił tam również swoją bezcenną kasetę.

Jednym uchem przysłuchiwał się rozmowie pasażerów. Śmieszni ci Polacy. Narzekali na drożyznę, głupotę władzy, brak perspektyw, kpili z najwyższych autorytetów. A przecież w porównaniu z Rosją jechał przez kraj w miarę zasobny, piękny i pełen tak wspaniale odżywionej młodzieży...

— Cóż to za przekleństwo być Polakiem — powiedział naraz starszy pan spod okna składając gazetę.

— Tak, chyba nawet Murzynom jest lepiej niż nam — dorzuciła wyfiokowana kobieta siedząca koło drzwi.

Lebediew miał ochotę wysunąć nos spod płaszcza i zawołać: „Nie grzeszcie!”, ale pomyślał, że lepiej się nie wychylać i sam zadał sobie pytanie: Czy za piętnaście lat, gdy ci sami pasażerowie będą mieli i wolność, i kapitalizm, i osobiście wybraną władzę, będą tak samo narzekać?

Dworzec w Gdańsku przywitał go ciepłą czerwcową mżawką. Piotr wyszedł z wagonu jako ostatni i ku swojemu zdumieniu natknął się na dziewczynę w mini, która podbiegła do niego i ucałowała zanim zdążył wykonać jakiś gest.

— Romek, wreszcie jesteś! — zawołała.

— Bardzo przepraszam — wykrztusił purpurowiejąc — ale chyba pomyliła mnie pani z kimś innym.

— Rzeczywiście — dziewczyna cofnęła się o krok. Wyglądała na zmieszaną — Pan nie jest Romkiem?...

— Bardzo żałuję, ale nie.

— Romek to mój kuzyn z Gliwic, nie widziałam go od lat — powiedziała dziewczyna i ruszyła wzdłuż wagonów.

Lebediew, który nie pozostawał obojętny na wdzięki kobiece, powiódł za nią wzrokiem.

Było na co popatrzeć. Smukłe nogi, obcisły sweterek, rozpuszczone luźno włosy i ogromna naturalność w zachowaniu, połączona z lekką nonszalancją. Poczula chyba, że na nią patrzy, bo na wysokości wagonu restauracyjnego odwróciła się i rzuciła promienne:

— Jeszcze raz bardzo pana przepraszam.

Piotr ruszył ku wyjściu. Nie miał jeszcze sprecyzowanego planu. Chciał zacząć od rozejrzenia się w okolicy zamieszkiwanej przez „zwornik nr 4”. W kiosku (przypadkowo jeszcze czynnym) kupił plan miasta, i szukając dzielnicy Stogi przeszedł do postoju taksówek. Nie było kolejki, taksówek zresztą też. Deszcz się wzmaciał.

Lebediew stanął na krawężniku żałując, że pozbył się parasola zamachowca. Nie miał wprawdzie zamiaru nikogo więcej nim zabijać, ale moknąć nie lubił.

Usłyszał odgłos kroków na chodniku. Odwrócił się. To była dziewczyna z peronu.

— Nic nie podejźdza? — zapytała.
— Niestety — chcąc pokryć swój wschodni akcent starał się mówić gardłowo.
— Pan jest cudzoziemcem? — Dziewczyna otworzyła parasolkę.
Skinął głową
— Niemiec?
— Amerykanin. Ale polskiego pochodzenia.
Niebo nad pobliską stoczną przekreśliła błyskawica i rozległ się grzmot.
— Zaraz lunie jeszcze mocniej — powiedziała dziewczyna. — Okropnie pan zmoknie stojąc tutaj.
— Ale chyba się nie rozpuszczę.
— Mam tuż obok zaparkowanego malucha. Ponieważ mój kuzyn nie przyjechał, mogłabym pana gdzieś podrzucić — zaproponowała.
Miała piękne, migdałowe oczy i szyję z gatunku łabędzich. Nie mógł odmówić.
Ruszając w stronę fiata dziewczyny Lebediew omiótł wzrokiem cały rozległy teren parkingu. Nie zauważył jednak nic podejrzanego.
— Właściwie powinnam się przedstawić — powiedziała nagle piękna gdańszczanka. — Nazywam się Joanna Leśniewska.
— Edward Rogers, ale proszę mi mówić Ted — przedstawił się zgodnie z dokumentami otrzymanymi od Colemana.
— Rogers? A mówił pan, że jest Polakiem z pochodzenia.
— Moja mamusia wpadła na pomysł, żeby poślubić starego Rogersa, który trząśł handlem tekstyliami w Detroit — odparł z uśmiechem.
Zapуściła silnik.
— Więc gdzie mam pana podrzucić, Ted?
— Chciałbym zatrzymać się w jakimś hotelu...
— Tego vis-à-vis dworca nie polecam. Ale co powiedziałby pan na „Novotel”? Czysty, nowoczesny, opodal i Starego Miasta.
— Pani jest moją przewodniczką
W trakcie drogi Joanna opowiedziała mu trochę o sobie. Studiowała grafikę w tutejszej Wyższej Szkole Sztuk Plastycznych, a poza tym dorabiała jako modelka i projektantka wystaw.
— Od czterech lat muszę dbać sama o siebie i nawet mi to jakoś wychodzi.
Jej niepokojąca bliskość działała na Lebediewa jak narkotyk. Nigdy dotąd nie poznał dziewczyny z takim stylem. Jego jednodniowe romanse z koleżankami po fachu dostarczały tyleż zabawy, co niesmaku. Podczas pierwszego pobytu w Polsce, mimo że niejedna panienka oglądała się za rosnym mężczyzną nie miał odwagi na zaloty. Któraż z dumnych Polek poleciałaby na Ruska?...

Jako „Amerykanin” czuł się troszeczkę pewniej. Spoglądał z zachwytem na regularny profil dziewczyny, wspaniałe piersi, szczupłe nogi i wysmukłe palce śmiało zmieniające biegi, i czuł, że głupieje.

„Novotel” przypominał kawałek tortu dość niedbale ciśnięty między zbiorowisko ruin. Trochę dalej za Motławą zaczynało się rekonstruowane Stare Miasto z potężną wieżą Kościoła Mariackiego.

— Jesteśmy na miejscu — powiedziała Joanna. Czuł, że powinni się rozstać, ale bardzo nie chciał.

— Jestem pani bardzo wdzięczny, Joanno, i jeśli mogę zaprosić panią na kolację?
— Chętnie, jestem bardzo głodna. Ale uprzedzam, płacę sama za siebie.
— O tym podyskutujemy, kiedy przyjdzie płacić za rachunek.

Ten wieczór miał smak czerwonego wina. Ponieważ bardzo prędko zamknięto hotelową restaurację, przenieśli się do pokoju wynajętego przez Piotra.

— Odwiedziny gości tylko do dwudziestej drugiej — zaczął marudzić portier, ale zielony banknot natychmiast rozwiązał jego moralne skrupuły.

Siedzieli więc w pokoju. Z radia sączyła się dobra muzyka nadawana w programie III PR. Mówiła głównie Joanna. Wyglądało na to, że nie miała ochoty rozstawać się z Piotrem. Opowiadała mu o swoim dzieciństwie — była sierotą wychowywały ją zakonnice.

— Właściwie zaczynałam już nowicjat... ale okazało się, że nie mam powołania. Potem zaczęłam studia. Prawie wyszłam za męż... ale rozwiąło się... Chyba mam pecha.

Spróbował skrócić dystans, ale odsunęła się od niego.

— Niech zostanie, jak jest — powiedziała łagodnie wpatrując się w niego oczami o ogromnych, rozszerzonych źrenicach. — Nie uważaj mnie za mniszkę, ale ja żeby z kimś być, najpierw muszę się zakochać.

— To zupełnie jak ja — powiedział. I zamilkł. Przez dłuższą chwilę wisiała między nimi absolutna cisza. Lebediew czuł, że jest coś niezręcznego w tej sytuacji. On udający kogoś zupełnie innego niż był — „Amerykanin” z kresowym akcentem?... A ona? Podobał się jej, czuł to. Ale jednocześnie poza słowną bezpośredniością kryła się jakaś olbrzymia rezerwa.

Tymczasem minęła północ.

— Muszę już lecieć — powiedziała Joanna dopijając wino. — Rano czeka mnie wiele pracy. Ale chyba się jeszcze zobaczymy. Długo zamierzasz zostać w Gdańsku, Ted?

— Tydzień — odparł szczerze.

— To na pewno zdarzy się jeszcze jakaś okazja. Oboje byli lekko wstawieni. Joanna wstała i podkreśliła radio.

— Pożegnalny walc. Zatańczysz?

Wziął ją w ramiona i tańczyli, krótko, bardzo krótko, ponieważ nagle dziewczyna przytuliła się do niego całym ciałem. Poczul, że drży. Chciał przygarnąć ją mocniej. Odsunęła się zdecydowanie i odwróciła głowę. Mógłby przysiąc, że w kąciku oka dostrzegł łzę.

— Będę musiała zostawić przed hotelem samochód, bo nie mam ochoty dmuchać glinom w balonik. Na szczęście mieszkam niedaleko.

— Odprowadzę cię — zaproponował.

— Będzie mi miło.

Kiedy zniknęła w łazience, aby poprawić urodę, Lebediew zainteresował się oknem. Otworzył je. Tuż za ścianą znajdował się trawnik. Piotr przymknął lekko okno i zdjął zabezpieczający łańcuszek. Potem z dziewczyną wyszli w noc. Łasy na napiwki portier otworzył im drzwi, gotów był przywołać taksówkę.

— Dziękuję — powiedziała Joanna. — Spacer świetnie nam zrobi.

Dróżką między ruinami, obok starych wypalonych spichrzów dotarli nad Motławę.

Po burzy sprzed paru godzin nie zostało śladu, tylko powietrze zrobiło się chłodniejsze i świeższe. Miasto o tej porze było prawie puste. Na Długim Targu hałasowała grupka pijaków, w cieniu Zielonej Bramy całowali się zakochani. Lebediew znów chciał objąć Joannę, ta jednak odsunęła się od niego.

Milcząc skręcili w jedną z bocznych uliczek. Natychmiast zawisła nad nimi olbrzymia bryła bazyliki mariackiej, potem jeszcze jeden zakręt...

— Tu mieszkam — plastyczka wskazała wąską kamienicę. — Mam pracownię tam na samej górze. Wskazała owalne okienko. Jestem taka „panienka z okienka”.

Domyślił się, że przytoczyła jakiś cytat lub specyficzne polskie powiedzonko, ale nie wiedział, jakie. Zapisała mu swój numer telefonu i na pożegnanie podała rękę. Ucałował ją po polsku.

— Mam nadzieję, że nigdzie nie zabłądzisz wracając? — zapytała.

— Postaram się.

Już, już wchodziła na schodki, kiedy nagle odwróciła się. Poczul muśnięcie gorących wilgotnych ust. Trzasnęły stare drzwi. Stał chwilę, dopóki nie rozblýsło na górze światło, niczym w kameralnej latarni morskiej.

Ruszył z powrotem. Do hotelu i rzeczywistości.

Zastanawiał się nad Leśniewską — co to wszystko znaczyło? Nie wierzył w przypadki, a z drugiej strony, jeśli miała posłużyć za serek czekający na myszkę w pułapce, dlaczego pułapka nie zapadła?

Dochodząc do „Novotelu” zwolnił, ścieżką wśród ruin okrążył gmach hotelu i odszukał swoje okno. Najpierw zastukał. Poczekał. W środku nie zauważył żadnego ruchu. Wsunął się do wnętrza. Jego rzeczy pozostały nienaruszone. Mimo to postanowił jeszcze się upewnić. Hotel miał automatyczną centralę. Nie zapalając światła Piotr wykręcił najpierw miasto, a następnie numer recepcji.

— Mówi Rogers — rzekł gardłowo. — Czy były może do mnie jakieś telefony?

— Nie, ale czeka na pana dwóch panów — tu recepcjonistka umilkła jakby nagle czymś przestraszona.

— Proszę ich przeprosić, wrócę dopiero jutro rano. A gdyby były do mnie telefony niech dzwonią po dziesiątej. Dobranoc — i odłożył słuchawkę.

Potem wyszedł na korytarz. Cichutko cofnął się ku schodom awaryjnym i wszedł na pierwsze piętro. Następnie przemierzył całą długość budynku i doszedł do podestu, z którego było widać recepcję i spory kawałek hallu. Recepcjonistka rozmawiała z dwoma facetami. Poznał charakterystyczną sylwetkę Colemana. Amerykanin wyglądał na zdenerwowanego. Na moment znikł w kabinie: telefonicznej, po czym wcisnął coś w garść portierowi i razem ze swoim towarzyszem wyszedł z hotelu. Piotr uśmiechnął się. Jednak po chwili usłyszał szelest kroków na żwirze. Szybko dał nura do ciemnej łazienki. Usłyszał trącenie okna. Łącuszek uniemożliwił szersze otwarcie. Snop światła ogarnął pokój. Chwilę potem rozległ się dzwonek telefonu. Drugi, trzeci. Nie odbierał. Usłyszał jeszcze krótką wymianę zdań pod oknem, po czym głosy umilkły.

Łazienkę opuścił po kwadransie. Wyjrzał ostrożniej przez okno. Ani śladu ludzi z CIA. Niewiele myśląc wyciągnął się na podwójnym łóżku i w trzydzieści sekund j później już spał.

* * *

Okolo szóstej przebrawszy się za dorodnego matrosa o rudej brodzie tylnym wyjściem, przy którym krzątali się dostawcy do sklepu „Pewexu”, Lebediew opuścił hotel. Tradycyjnie pozostawił prawie pustą walizkę i piżamę w łóżku. Nie miał jednak zamiaru tam wracać. W dzielnicy Stogi znalazł jakąś rudere, której właścicielka nie interesowała się żadnymi przepisami meldunkowymi i tu stał. Czekał...

W ciągu następnych dni sporo czasu poświęcił obserwacji „obiektu”. Trudno byłoby zgadnąć, że młody, zabiegany bezrobotny został wytypowany na zwrotnik historii. Na pierwszy rzut oka sprawiał wrażenie arcyprzeciętnego. Może miał tylko bystrzejsze spojrzenie i bardziej energiczne ruchy niż inni. Wśród sąsiadów cieszył opinią złotej rączki, nawiązał też kontakty z grupą gdańskiej opozycji, ale wiele wskazywało na to, że nieduży elektryk, wyrzucony przed laty ze Stoczni Gdańskiej, był traktowany przez konspiratorów jak chłopiec na posyłki.

— Czyżby w tym punkcie Liwyszyc się pomylił? — zachodził w głowę starszy lejtnant.

Inna sprawa, że znał dalsze losy młodego robotnika. I pomysłowy szmugiel wieńca z kwiatów na miejsce, w którym polegli stoczniowcy, i skok przez płot wprost na trybunę skonstruowaną z koparki przy bramie stoczni... Oczywiście „Korektura” miała to uniemożliwić. A Piotr nie miał innego celu jak tylko nie dopuścić do „Korektury”.

Dni upływały mu spokojnie. Śmiał się w duchu, myśląc, jak Coleman i jego szef wyłażą ze skóry, aby go odnaleźć. Nie zamierzał im ułatwiać zadania. Nie zatelefonował do Joanny. Postanowił zrobić to dopiero po akcji, chociaż nie bardzo widział w tym sens.

Po tygodniu wiedział już bardzo wiele o swoim „podopiecznym”, tak wiele, że postanowił dla relaksu przespacerować się na Stare Miasto. Zamierzał też zajrzeć do skrytki Łunienki na Dworcu Głównym, gdzie znajdowała się druga połowa gratyfikacji dla zamachowca. Przed wyjazdem na Zachód każde pieniądze mogły się przydać. Mimo że łączyło się to ze znacznym ryzykiem, wrócił do postaci biznesmena. Po prostu dla „matrosa” nie miał odpowiednich dokumentów. Liczył, że i tym razem szczęście go nie opuści.

Niestety, w pobliżu Wielkiego Młyna, na mało uczęszczanej uliczce, drogę zastąpiło mu dwóch milicjantów.

— Mister Edward Rogers? — zapytał starszy z wąsikami.

— Słucham, o co chodzi? — odparł łamaną polszczyzną

— Można zobaczyć pańskie dokumenty? Poczłł nieprzyjemne ściśnięcie w dołku.

— Czy coś się stało? — zapytał możliwie niefrasobliwym tonem.

— Szukaliśmy pana. Z hotelu „Novotel” nadeszła informacja o pańskim zniknięciu. Zaniepokojona jest wasza ambasada.

— Jak widzicie, jestem zdrów i cały.

— Oczywiście, ale powinniście wrócić do hotelu. To portowe miasto, nie brak rozmaitych elementów chuligańskich...

— Zamierzałem właśnie to zrobić.

— Poza tym jeśli zamieszkał pan gdzie indziej, należało się zameldować — pouczył funkcjonariusz.

— Wracam do hotelu, chyba że chcecie panowie mnie zatrzymać?

— Ależ skąd, mister Rogers! — powiedział milicjant, zwrócił mu dokumenty i zasalutował. — Znacie drogę? Możemy was odprowadzić.

— Dziękuję.

— Jednak, jeśli pan pozwoli, odprowadzimy pana.

— Zamierzam jeszcze po drodze zjeść kolację. Dobranoc panom.

Nie mieli zadowolonych min.

Piotr, nie przyspieszając, ruszył przed siebie biorąc azymut na hotel. Kątem oka zdołał zobaczyć, jak para funkcjonariuszy konwersuje z jakimś cywilem. Skręcił w uliczkę, potem w zaułek. Tam przyspieszył kroku. Do Motławy nie było daleko.

— Tawariszcz Worobiov! — zabrzmiało nagle za nim. Cywil stał na rogu uliczki i trzymał w ręku przedmiot niepokojąco podobny do pistoletu z tłumikiem.

Lebiediew rzucił okiem przed siebie. Źle! Zza zakrętu wyszło dwóch marynarzy floty bałtyckiej.

— Ruki w wierch! — komenderował cywil, zbliżając się szparko. Lebiediew nie podnosił jednak rąk.

— Can I help you? — powiedział tonem lekko przestraszonego Amerykanina. — My name is Edward Rogers from Detroit.

— Ruki w wierch! — powtórzył rosyjski wywiadowca.

Piotr zaczął unosić ręce, lecz gdy Rosjanin zbliżył się i chciał go obmacać uderzył kolanem, poprawił bykiem, przeturlał się po chodniku trzymając cały czas cywila w objęciach. Podczas tej akcji wyrwał mu pistolet z tłumikiem.

— Bieri jewo, maładcy! — wrzasnął cywil. Marynarze zbliżali się zdezorientowani. Nie mogli strzelać, aby nie uszkodzić szefa. Pierwszy wypalił Lebiediew. Mierzył funkcjonariuszom w nogi. Jednego trafił. Drugi przywarł do ściany. Piotr puścił dowódcę i skoczył w bok. Zaraz posypały się za nim strzały. Marynarz jednak kiepsko strzelał. Dopiero czwarta kula...

Uderzenie w udo odczuł niczym porażenie prądem. Krew z rozerwanej tętnicy chlusnęła jak fontanna. Piotr zatrzymał się. W tym stanie nie miał szans na ucieczkę. Począł aż prześladowcy wypadną z zakrętu. Nie chciał ich zabijać. Teraz jednak musiał przynajmniej ich unieszkodliwić. Strzelił dwa razy. Trafieni wywinęli kozła jak szmaciane lalki.

Lebiediew ucisnął sobie udo paskiem, obwinął rękawem oddartym od wiatrówki i kuśtykając poczał się oddalać. Wiedział, że nie ucieknie daleko...

* * *

Joanna siedziała przy sztalugach. Oprócz grafiki lubiła czasem pobawić się pędzlem. Odprężyła ją nadrealistyczne collage, pejzaże, w których element landszaftu mieszał się z fragmentami ludzkich ciał, oczu, szczęk, żeber... Tym razem malowała pustynie, rozległe piaszczyste diuny, z których coś kiełkowało. Kępka włosów, czubek głowy, wreszcie sama głowa z twarzą mężczyzny, którego znała jako Rogersa.

Ktoś zapukał do drzwi.

Otworzyła.

— Ted?

Jej „Amerykanin” stał na progu blady ze spodniami ochłapanymi posoką i prymitywnym opatrunkiem napuchłym krwią.

— Oberwałem zdrowo. Potrzebuję twojej pomocy, Joanno — wycharczał. — Mimo wszystko wołę CIA od KGB.

Spąsowiała.

— Ależ ja...

— Nie zaprzeczaj. Wiem, że czekałaś na mnie na dworcu, że od razu przekazałaś wiadomość do Warszawy, że kolacja, tańce w pokoju i spacerzy nocą były grą na czas, aby pewien amerykański podpułkownik i jego ludzie mogli dojechać do Gdańska.

Otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale chyba zrezygnowała i tylko powiedziała.

— Pokaż tę nogę.

Na szczęście siostry, które wychowywały pannę Leśniewską nauczyły ją udzielania pierwszej pomocy. Po dziesięciu minutach Lebiediew był już opatrzony, chwili później przebrany i umyty.

— Teraz powinieneś zasnąć.

— Nie, muszę iść — rzekł próbując wstać.

I nagle zobaczył, że zdobyczny pistolet z tłumikiem zniknął. Nie było też śladu po kurtce, w której ukrył swoją broń.

— Naprawdę należy się panu dużo wycieczki — z łazienki wyszedł ze spluwą w ręku Coleman. — A my i panu zapewnimy.

— Skąd wiedzieliście, że tu przyjdę? To wy nadaliście mnie Rosjanom?

— Nie, to czysty przypadek, podobnie jak zapewne przypadkiem KGB skojarzyło zaginionego Teda Roger z Worobiowem. Ale tym razem zagrało to na naszą korzyść. Dla wspólnego dobra.

XI

Ani broń w ręku Colemana, ani zadowolenie amerykańskiego podpułkownika zdawały się nie robić specjalnego wrażenia na Lebidiewie. Choć bardzo osłabiony, z opadającymi powiekami, zachowywał lodowaty spokój.

— Zostaw nas samych, Joanno — rzucił Amerykanin. Skinęła głową i zniknęła w kuchni.

— Nie doceniłeś nas, „towarzyszu” — na ustach Colemana pojawił się uśmiezek.

— Umówiliśmy się co do reguł gry — mruknął Piotr. — To wy je złamaliście.

— To były twoje warunki. A teraz zagramy według naszych.

— Obawiam się, że nie.

— Odmówisz?

— Tak.

Na twarzy podpułkownika pojawiło się zakłopotanie.

— Powiem ci szczerze, jesteś fajny facet, Lebidiew, czy jeśli wolisz Worobiow. I jeśli chodzi o mnie, to dałbym ci wolną rękę. Ale ja też mam swoich szefów, którzy uważają że cholernie dużo wiesz. I nie chcą żeby twoja wiedza zmarnowała się, gdybyś znów przypadkiem trafił w jakiś kocioł.

— To moja sprawa...

Skrzypnęły drzwi. Do mieszkania wszedł lekko zdyszany Larry O'Connor. Z jego stosunkowo młodą twarzą kontrastowały kompletnie siwe włosy. Na widok skutego Rosjanina zagwizdał cichutko.

— Brawo, Bob! Już myślałem, że się tutaj nie dostanę. Na mieście prawdziwe szaleństwo — patroli polskie, rosyjskie, masa tajniaków...

— Nas nie namierzą. Mike porozlewał na ulicach wystarczająco dużo odpowiedniej substancji, żeby nie udało im się użyć psów.

— Jednakże w ciągu nocy nie możemy ewakuować tej mansardy. Co z jego raną?

— Da się wytrzymać, Generale. — Lebidiew włączył się do rozmowy. — I proszę nie udawać zdziwionego, że was znam. Na szkoleniach uczyliśmy się na pamięć całej kadry dowódczej CIA. Teraz jednak chciałbym się trochę przespać.

— Stracił mnóstwo krwi — dorzucił Coleman.

— Zaraz będziesz mógł zasnąć. Odpowiedz tylko na jedno nasze pytanie.

— Nie odpowiem.

— Jednak ci je zadam. Co łączy te trzy udaremnione zamachy? Dlaczego wasi mordercy wybrali sobie za cel likwidację Reagana, Brzezińskiego i Wojtyły?... Jaki zamach chce pan udaremnić tu, w Gdańsku?

Ranny nie odpowiadał. Ostentacyjnie obrócił się na drugi bok. Oficerowie wyszli do kuchni.

— Niech się teraz rzeczywiście prześpi — rzekł szeptem O'Connor. — Pozostawimy go pod pani opieką Joanno. Swoją drogą spisałaś się, dziewczyno, na medal.

— Oczywiście zostawię ludzi na schodach i na ulicy — dodał Coleman. — A gdyby „pacjent” próbował jakichś sztuczek, wiesz, co robić.

— Naturalnie — powiedziała cicho. — Czy on jest bardzo niebezpieczny?

— Jest fachowcem. I proszę pamiętać — naszym sojusznikiem!

— Dość ostro potraktowaliście go jak na sojusznika — kajdanki, nadzór...

— Czasami sojusz wymaga silniejszych więzów — uśmiechnął się Generał. — Bierzemy wzory z Układu Warszawskiego.

— A... co z nim zrobicie?

Coleman pogłaskał ją po ramieniu gestem tak poufałym, że Larry aż się skrzywił i zadał sobie w duchu pytanie: co właściwie łączy jego podwładnego z tą małą?

— Im mniej wiesz, Joanno, tym lepiej — rzekł Robert.

— Jedno ci gwarantuję, twoje stypendium i wyjazd na Zachód są już pewne. A jemu?... Nic się nie stanie, oczywiście, jeśli będzie rozsądny.

* * *

Piotr obudził się po paru godzinach. Joanna dotknęła dłonią jego spoconego czoła. Ranny miał gorączkę, ale niezbyt wysoką

— Możesz mi podać wody? — szepnął.

Przytknęła kubek do spierzchniętych ust. Ich spojrzenia spotkały się. Oczy dziewczyny lśniły w ciemnościach jak soczewki kota. Lubił koty...

— Przykro mi, że tak wyszło. Bardzo cię polubiłam — szepnęła Leśniewska. — I gdybyś sam nie przyszedł, to nigdy...

— Rozumiem — powiedział i uściśnął jej drobną dłoń.

— Rozumiem, że musisz dla nich pracować. Powiedz tylko, dlaczego? Kupili cię, szantażowali?

— Dużo by opowiadać. Powiedzmy, że płacę za błędy. Ty jesteś Rosjaninem, prawda Ted?

— Wolę, abyś mówiła mi Piotrze. Kim ja jestem? Chyba sam już nie wiem. Genetycznie, w jednej czwartej Polakiem. Psychicznie, w połowie.

— W takim razie może mnie zrozumiesz. Ja... nie robiłam tego dla pieniędzy. Coleman pomógł mi kiedyś, a teraz obiecał...

— Wiem, złote życie w Wolnym Świecie. I dlatego ochoczo i ideowo współpracujesz z Centralną Agencją Wywiadowczą.

Zjeżyła się.

— Jestem obywatelką zniewolonego narodu — syknęła. — Zniewolonego przez twój, Piotrze, kraj. I jeśli z kimś można współdziałać dla dobra Polski, to lepiej z tymi, co żyją od nas trochę dalej.

— Nie przekonuje mnie to.

— Nie próbowałam nawet cię przekonać. Uniósł się lekko na łokciu.

— A jeśli powiem ci, że za dwanaście lat ten kraj będzie wolny?

Zaśmiała się.

— Piękne proroctwo, ale nierealne. Oczywiście kiedyś będziemy wolni, ale nie stanie się to za naszego życia.

— Będziecie wolni za dwanaście lat — powtórzył z naciskiem. — My Rosjanie też.

Najwyraźniej nie żartował. Dziewczyna przestała się uśmiechać.

— Skąd ta pewność? Jesteś kosmitą czy podróżnikiem w czasie?

— Powiedzmy, zaglądałem do „Księgi Przyszłych Spraw i Rzeczy”.

— Ale jaka będzie cena tej wolności? Wojna światowa? Konflikt termonuklearny?

— Nie, nie będzie żadnej wielkiej wojny — rzekł impulsywnie. Wszystko samo się rozleci, rozlezie, rozsypie...

W słowach Lebediewa było tyle niezachwianej pewności, że Joanna odczuła elektryzujący, niemal seksualny, dreszcz. Czyżby miała to być prawda?

— Tylko jeśli tak ma się stać, muszę się stąd wydostać — zakończył Piotr.

— To niemożliwe — poderwała się na równe nogi. — Nawet gdybym miała klucz do kajdanek, a nie mam, nie zajdziesz daleko. Amerykanie pilnują domu, a w mieście cała esbecja i agenci KGB są w stanie pogotowia.

— Posłuchaj mnie uważnie — powiedział opadając ciężko na posłanie. — Za niecałą dobę ma zginąć pewien człowiek. Jeśli go zabiją, wszystko w tym kraju potoczy się inaczej Szlag może trafić twoje i moje marzenia...

— Podaj mi jego nazwisko, spróbuję go ostrzec.

Pokręcił energicznie głową

— Niemożliwe i to z dwóch przyczyn. Nie znam personaliów najemnego mordercy. Wiem tylko, gdzie ma nastąpić zamach. Również jeśli ofiara zostanie ostrzeżona, zamach być może się nie powiedzie, ale mogą być następne, których planów już nie znam. Nie upilnujemy człowieka.

— A Coleman?

— Powiedzmy, że go uratuje i wywiezie z Polski. Ale to też wszystko zepsuje. Ten człowiek, aby działał dobrze, nie może wiedzieć, co go czeka. Jego siłą będzie intuicja. Gdyby znał scenariusz, jaki pisze dla niego historia, zacząłby grać jak kiepski aktor. Gorzej, jeśli by wiedza dotycząca przyszłości dotarła do innych ludzi, jego szansę też mogłyby spaść do zera. Nie daliby mu odegrać jego roli.

— Mogłabym się zobowiązać, że zrobię wszystko tak, jak ty to zamierzałeś zrobić. Zaufaj mi.

— Nie mogę Joanno!

* * *

Podniecony O'Connor zdjął słuchawki. Taśma obracała się dalej nagrywając wszystko, co działo się w mieszkaniu Leśniewskiej.

— A więc nareszcie mamy dowód — wykrzyknął. — Ci piekielni Rosjanie rzeczywiście znaleźli sposób przewidywania przyszłości.

— I to jaki dokładny — basował mu Coleman. — Znają ludzkie losy, kariery, przebieg zdarzeń...

— I ty chciałbyś, żebym wypuścił Lebidiewa! On jest teraz cenniejszy dla nas niż cały arsenał pocisków strategicznych! Dawno podejrzewałem, że sowieci przeprowadzają doświadczenia w zakresie parapsychologii i antycypacji, ale nie sądziłem, że posunęli się już tak daleko.

— Przypuszczasz, że robili to w tym zniszczonym ośrodku na północnym Uralu?

— Niewykluczone. Wiemy jedno — Lebidiew to ich programista, dużej klasy spec od komputerów. Jestem przekonany, że zna nie tylko prognozy dotyczące przyszłości, ale również zasady analizowania danych pochodzących z objawień i horoskopów... Jeśli zacnie pracować dla nas, stanie się nowym von Braunem XXI wieku.

— Przygotowuję wszystko, żeby go ewakuować. Od jutra będzie otwarty mój kanał przez kontenerownie portu gdańskiego.

— Dobrze — komentuje Larry. — Z pełnego Bałtyku przejmie go nasz helikopter.

— A ten Polak, o którym wspominał? — zastanawia się Coleman. — Jeśli nie zostanie ostrzeżony, zginie.

— Co mamy przejmować się jednym Polakiem, kiedy stawką są losy całego świata.

* * *

Zegar na wieży ratuszowej wybił dziesiątą. Gdańskiemu elektrykowi pozostało w tym momencie około dwunastu godzin życia. Kolejna rozmowa Amerykanów z Lebidiewem nie

przyniosła żadnych rezultatów. Piotr zmienił się w supermałomówny kawałek uralskiego granitu. Jedyne słowa, które cedził co pewien czas przez zaciśnięte zęby, to:

— Traciecie czas.

Dźwięk zegara dotarł do mansardy. Zirytowany Coleman zawołał Joannę. Weszła trzymając w ręku strzykawkę.

— To tylko środek nasenny — powiedział uspokajająco O'Connor.

— Głupio robicie...

Joanna wbiła strzykawkę. Ciało Piotra było bardzo gorące.

— Tu masz dla niego dowód osobisty. Nazywa się teraz Henryk Majewski — Coleman podał jej dokumenty. — Za kwadrans przybędzie po niego szpitalna karetka. Pewni ludzie. Zabiorą Lebidiewa. Jeśli ktoś was zatrzyma, lekarz stwierdzi, że chory ma atak serca. Pani założy fartuch pielęgniarki i pojedzie z nim.

— A wy? — dziewczyna obrzuciła wzrokiem obu Amerykanów.

— Nie możemy ryzykować. W mieście krąży mnóstwo patroli, a my jesteśmy pracownikami ambasady. Spotkamy się w lesie pod Gdynią Kierowca wie, gdzie. Wszystko jasne?

— Ale czy to konieczne? — w głosie Joanny zabrzmiało wahanie.

— Tak, to konieczne. Również dla jego dobra. Kiedy tak rozmawiali, Piotr Lebidiew spał już twardo.

* * *

Sen był przeraźliwie dokładny i realistyczny. Dużo bardziej realistyczny niż obrazy wyrwane z podświadomości Rodrigueza czy Zwiaginy. Boczna, słabo uczęszczana droga, wiodąca nasypem przez niewielki zagajnik, z wolna posuwał się mężczyzna. Był lekko wstawiony. Miał ciężki dzień, potem wpadł na chrzciny córki przyjaciela, odbywające się późnym popołudniem w małym parafialnym kościółku. Potem zaproszono go na tradycyjne polskie przyjęcie. Pił oszczędnie i wyszedł trochę wcześniej. Spieszył się do młodej żony i małych dzieci. Był przekonany, że zdąży wrócić na Stogi przed północą. Doszedł do zakrętu. W oddali rozbłysły światła wielkiej ciężarówki...

Myśl Lebidiewa (we śnie takie tricki filmowe są całkiem możliwe) wyprzedziła piechura i pobięła na spotkanie pojazdu. Błyskawicznie znalazła się na wysokości okien szoferki i zadrażała. Kierowcą pojazdu był sam Łunienko.

Ocknął się. Prawie równocześnie poczuł uderzenie drobnej dłoni. Usłyszał szeptał.

— Budź się, Piotrze!

Poznał głos Joanny i otworzył oczy. Karetka podskakiwała po nierównościach terenu. Najwyraźniej wyjechali już z miasta. Poruszył dłońmi i poczuł, że nie ma kajdanek. Spojrzał na Leśniewską. Jej oczy płonęły energią. Lekko obrócił głowę. Lekarz i kierowca siedzieli z przodu i całą uwagę poświęcali drodze. Joanna wsunęła mu w rękę jego pistolet...

— Krzycz! — szepnęła.

Wrzasnął tak przeraźliwie, że aż sam się przestraszył. Kierowca nacisnął hamulec.

— Krwotok, straszny krwotok! — wołała Joanna. Lekarz poderwał się i wyrznął głową w dach karetki.

Chwiał się. Joanna poprawiła ciosem karate. Kierowca też obrócił się, ale widząc na wysokości brzucha lufę z tłumikiem zrezygnował z bohaterkich eksperymentów. Lebidiew ogłuszył go starając się nie czynić więcej krzywdy niż było potrzebne. Tymczasem Joanna już siedziała za kierownicą i wprowadziła sanitarkę w zagajnik. Zaczęły ściągać ubranie z lekarza. Powinno pasować na Rosjanina.

Przez cały czas nie padło ani jedno słowo.

Dopiero gdy znaleźli się kilkaset metrów od porzuconej sanitarki, Piotr powiedział krótko:

— Dziękuję!

— Musiałam to zrobić — stwierdziła po chwili dziewczyna. — Dałam ci rozcieńczoną dawkę usypiacza. A wiesz, dlaczego tak postąpiłam? Chcieli cię wywieźć z Polski, a los człowieka przewidzianego na dzisiejszą ofiarę był im obojętny...

Objął ją ramieniem. Szedł coraz ciężej. Rana bolała jak wszyscy diabli. Było jasne, że nie ujdą daleko. Kiedy dotarli do pierwszej budki telefonicznej, Joanna zostawiła go na zewnątrz.

— Dokąd telefonowałaś?

— Załatwiałam pomoc. Ale nie bój się, to nie będzie CIA. Zakonnica, która nadjechała po godzinie czarną wołgą nie wyglądała na pracownicę żadnego obcego wywiadu. Pulchniutka, okrągłutka nazywała się siostra Imelda i była dyplomowaną pielęgniarką. Na co dzień pracowała w Watykanie, ale teraz przyjechała na wakacje do Gdańska odwiedzić rodzinę. Przed laty była ukochaną wychowawczynią Joanny i mimo że drogi ich się rozeszły, nadal chętnie pomagała dziewczynie. I nie zadawała pytań.

Lebiediew nie miał innego wyjścia jak zaufać obu.

Zakonnica umieściła go w pustym baraczkach, w którym jej matka w sezonie upychała nadwyżki letników. Joanna zaś pojechała do miasta zabrać ze skrytki dworcowej bojowy ekwipunek Piotra.

Siostra fachowo zajęła się postrzałem. Przemyśla ranę. Zrobiła też zastrzyk na spędzenie gorączki i Rosjanin znowu zasnął.

Obudził się około siódmej. Było jeszcze zupełnie jasno, tyle że w komórce panował naturalny półmrok. Obrócił się na drugi bok i ze zdumieniem zobaczył, że nie jest sam. Na materacu obok niego leżała Joanna. Nie spała. Oczy miała szeroko otwarte, a usta rozkosznie rozchylone. I w tym rozchyleniu były zawarte wszystkie możliwe obietnice, od początku świata. I kuszenie, i żar, i jakaś tajemnicza nostalgia. A kiedy dojrzał wylaniający się zza olśniewających zębów czubek języczka, poczuł, że jego gorączka nagle spada jak narciarz na Wielkiej Krokwi.

— Załatwiłam wszystko — powiedziała mrużąc szelmowsko oczy. — I nie bój się, nikt nie wie, gdzie jesteśmy, kochany.

Naraz wszystko zrobiło się takie bliskie i łatwe.

Szczupłe dłonie Joanny jak para zwinnych łasic rozpięły guziki jego koszuli, rozsypane bujne włosy przysłoniły świat.

Pocałunek? Czy to był pocałunek, czy też skok w źródła gorące, wonne, oszałamiające swym ciepłem, drżeniem.

Przytuliła się do niego delikatnie, pamiętając o ranie. Jej piersi zaatakowały go jak młode sarenki szturchające ciało matki, jej nogi rozsunęły się ustępując przed jego dłońmi...

— Joanno...

Niespiesznie ściągnęła mu spodnie. W ogóle nie czuł żadnego bólu. Zresztą nic się nie liczyło. Chciał jej i ona chciała jego. Jak dwoje ludzi, którzy szukali się przez całe życie.

Musnęła dłonią jego pierś, łądzwie, brzuch. Była coraz śmielsza, delikatna, to znów zaskakująca.

Przygarnął ją jeszcze mocniej, chciał obrócić...

— Nie rób nic, musisz się oszczędzać, pozostaw mnie inicjatywę — powiedziała „panienka z okienka”.

Zrzuciła sukienkę, pod którą i tak (przekonał się o tym już wcześniej) nie miała niczego. Ze swoją burzą włosów przypominała teraz młodzieńką amazonkę gotową dosiąść centaury. Ale nie chciała robić tego zbyt prędko.

Dotknęła go swoją wilgocią i cofnęła się...

Znów dotknęła...

Reagował bezbłędnie, jak spinany ostrogą

— Kocham cię — powiedziała nagle i uniosła się zdeterminowanym ruchem, aby wchłonąć go w siebie jak Winkelrid dzidę lub ambitny Japończyk miecz do harakiri, i...

Pukanie.

— Zdaje się, że miałam was obudzić w porze Wieczoru z Dziennikiem — zabrzmiał głos siostry Imeldy.

Joanna cichutko jęknęła. Piotr przymknął oczy. Szaleństwo prysnęło jak przekłuty balon.

Ale przecież czekała ich cała przyszłość, a dla Lecha Wałęsy rozpoczynała się właśnie pierwsza z czterech ostatnich godzin.

XII

Zadanie wyglądało na śmiesznie łatwe. Nawet dla emerytki. Zoja znalazła się w Peczorze pod wieczór i szybko zorientowała się, że interesujący ją pacjent przebywa w tzw. starym szpitalu — w dwupiętrowych zabudowaniach z drewna wzniesionych z przeznaczeniem na szpital łagierniczy w latach trzydziestych. Staruszka nie miała żadnych trudności z przeniknięciem do środka. Rewolucyjna czujność wartowników dawno opadła, a starowinka pchająca wózek z czystą bielizną nie wzbudziła niczyjego podejrzenia.

Potem w schowku na prześcieradła przeczekala parę godzin. Jak nocne ptaszysko lubiła polować po zmroku. Około drugiej w nocy uznała, że pora jest już właściwa. Drzemali strażnicy i pielęgniarki. Niektórzy razem.

„Masłow–Łunienko leżał w sali sto sześć wraz z jeszcze dwoma ofiarami eksplozji. Ale nieboracy byli w stanie zdecydowanie gorszym. Wszyscy trzej spali, a pacjent spod okna dodatkowo jęczał przez sen. Zoja wśliznęła się bezszelestnie. Sprawdziła nazwisko na tabliczce z wykresem gorączki i ciśnienia. „Masłow” — wszystko się zgadzało.

W pogotowiu miała strzykawkę i zamierzała jej użyć, ale wzrok jej wypatrzył obok łóżka kroplówkę sączącą życiodajną glukozę w żyły rannego. Uśmiechnięte się, aż załśniły jej cztery złote zęby. Anton chciał, żeby wyglądało naturalnie. I będzie supernaturalnie. Wyciągnęła fiolkę z rozpuszczonym alkaloidem... Na moment nachyliła się nad śpiącym. Oddychał równo, nieco chrapliwie, pogrążony w głębokim śnie. Wlała alkaloid do kroplówki. Teraz należało tylko poczekać aż ciecz dotrze i rozleje się po organizmie ofiary — zatrzyma pracę serca, porazi system oddechowy...

Na korytarzu rozległy się kroki. Starowinka dała susa do kąta. Lekarz dyżurny przeszedł szparko obok sali nie zaglądając do środka. Odetchnęła. Wróciła na swoje miejsce. Nagły skurcz targnął ciałem rannego, z gardła wydobył się nieartykułowany bulgot, konwulsyjnie zadrgały ręce, wierzgnęły nogi...

Nie było na co dłużej czekać. Zoja wymknęła się na korytarz. Drogę ewakuacyjną miała obmyśloną: do piwnicy, korytarzem do spalarni pooperacyjnej, potem przez nieczynną o tej porze roku kotłownię aż na rampę, którą ładowano koks.

Po drodze nie spotkała żywej duszy. Toteż zatrzymała się dopiero w spalarni. W piecu buzował płomień. Zdjęła kitel salowej i cisnęła go w ogień, podobnie postąpiła z fiolką i gumowymi rękawicami. Potem, zadowolona, wyciągnęła z zanadru piersiówkę z „Maskowską”. Wszak coś się jej należało za dobrze wykonaną pracę.

Rozkołatane serce powoli uspokoiło się, a po całym ciele rozlało błogie ciepło. Wysoczyła naczynie do końca i cisnęła je w płomień. Zamierzała zamknąć drzwiczki i wstać, ale jakieś imadło zacisnęło się wokoło jej szyi.

— Zdrastwuj, Zoja!

Zdrętwiała, odchyliła głowę na tyle, ile mogła i dostrzegła lśniące oko cyklopa wyzierające spoza bandaży. Jej ręka automatycznie poszukała śmiertcionośnej strzykawki, ale cios wymierzony nogą złamał jej nadgarstek. W tym momencie Łunienko stracił równowagę, ale nie puścił ofiary. Razem upadli na beton.

— Kto ci kazał? — syknął jej do ucha. Tylko zacisnęła zęby.

— Kto ci kazał, Zoja? — powtórzył! Zadygotała! Jak to możliwe? Rozpoznał ją?...

— Nie rozumiem, o co ci chodzi, towarzyszu... — gorączkowo zastanawiała się, jakim cudem „Masłow” uniknął śmierci. Najwyraźniej symulował sen, a kiedy chowała się do kąta wyrwał z żyły igłę do kroplówki, tak że cała trucizna poszła na materac. Potem doskonale odegrał agonalne drgawki.

— Mów, kto ci kazał, Zoja? „Stary”?... Poruszanie się wyraźnie sprawiało mu trudność, ale i tak robił z nią co chciał. Ponieważ nie odpowiedziała, pociągnął ją w stronę otwartych drzwiczek. Płomień paleniska owiał jej twarz aż zaskwierczały palone włosy.

— Nu, kto?

Żywy ogień dosięgnął jej swym jęzorem. Zawyla. — Moje oczy!!!

— Kto — powtórzył nieubłaganie. — Jura? Wiedziała, że nie ma szans. Wiedziała, że musi umrzeć, ale nie chciała cierpieć.

— Tak — wybełkotała. Tak, Przewodniczący.

Miała nadzieję, że ją zastrzeli lub udusi. Nie doceniła Łunienki. Nie zważając na opór, zaczął ją całą wpychać w wąski otwór pieca. Wyła, kopała, daremnie. Ogień pożarł jej twarz, ściał oczy, zgasił ostatni krzyk. A on pchał, przeciskał ją jak tłok w gigantycznej maszynie do mielenia mięsa. Aż ostatni z butów Zoi zniknął w płomieniach. Potem przejrzał jej torebkę. Wyjął wszystko, co mogło mu być w jakikolwiek sposób przydatne: broń, pieniądze, dokumenty. Resztę cisnął w piec. Następnie zawrócił do szpitala. Przeszedł się po magazynach na parterze. Znalazł butle z rozpuszczalnikiem...

Pół godziny później, gdy ukradzionym samochodem umykał pośród szarej, podbiegunowej nocy, nad szpitalem w Peczorze rozlewała się luna.

To miała być okropna noc w szpitalu. Było kilkudziesięciu rannych i kilkunastu spalonych żywcem. Nie udało się doliczyć ciał...

— Zoja przesadziła z zacieraniem śladów — skomentował ten incydent Anton, gdy zapoznał się z raportem Maszerskiego. Zdziwił się wprawdzie, że nie znalazł staruszki na umówionym miejscu, a potem doszedł do wniosku, że musiała zginąć w pożarze, który sama wywołała.

A Łunienko? Samochodem dotarł w ciągu nocy do Sosnogorska. Znał tam pewnego emeryta enkawudzistę, który musiał mu pomóc, choć zapewne nie spodziewał się, że zapłatą będzie jego własna śmierć. Dużo ludzi miało jeszcze umrzeć zanim as Andropowa dotarł do granic Polski.

Konsekwentnie zabijał każdego, z którym się zetknął, u kogo nocował. Każda z tych śmierci na pierwszy rzut oka wyglądała naturalnie. I zadziwiające, z każdą następną zbrodnią, z każdym kolejnym dniem czuł się coraz lepiej i silniej. Jak Feniks odradzający się z cudzych popiołów. „Feniks Dzierżyński” — zażartował w duchu.

Nie odczuwał strachu. Nie myślał o własnej przyszłości. Nie zastanawiał się nawet nad tym, czy Andropow chce kontynuowania „Korektury”, czy też nie. On, Wasyl, jak zaprogramowany automat, dążył do wypełnienia swej misji. I był pewien, że mu się uda.

* * *

— Zostaniesz w domu — powiedział kategorycznym tonem Lebediew do Joanny. — Zrobię, co do mnie należy, i wrócę po ciebie.

Była bardzo niezadowolona.

— Mogę ci się przydać, jesteś słaby i ranny.

— Skorzystam z uprzejmości siostry Imeldy, która pożycza mi samochód.

— Ale wrócisz?

— Wrócę, Joanno!

Całują się. Imelda skromnie odwraca głowę. Piotr chwyta teczkę, w której grzechoczą granaty i zbiega do samochodu.

— Kocham cię! — woła na pożegnanie Leśniewska. Czeka na odpowiedź... Z oczu Rosjanina odczytuje, że cała jego dusza śpiewa bezdźwięcznie: „Ja też”.

Wołga rusza i znika za rogiem.

Joanna szybkim ruchem zrywa siennik. Wyciąga ze środka mały magnetofon. Zatrzymuje, przewija. Do licha, co ten facet mamrotał przez sen?

Przesłuchuje raz, drugi. Nieartykułowane słowa powoli nabierają sensu.

— Panie Lechu, panie Wałęsa, z drogi! Z drogi!...

* * *

Wołgę zakonniczy zaparkował koło dworca. Przesiadł się do taksówki. Przez Stogi dojechał do podgdańskiej osady. Wszystko rozgrywało się jak w prorocztwie, jak we śnie.

To były duże, huczne chrzciny. Pito w izbie i na ganku. Śpiewano. Przez lornetkę jeszcze raz obejrzał sobie elektryka. Lech wyraźnie oszczędzał się w picciu. Tak, tu wszystko było jasne. Postanowił jeszcze obejrzyć drogę, na której miał się rozegrać dramatu akt ostatni. (A może pierwszy?...) Do krytycznego momentu pozostały dwie godziny. Dwie godziny, jeśli scenariusz zostanie zachowany.

Tymczasem przyjęcie zataczało coraz szersze kręgi. Do zabawy włączyli się sąsiedzi bliżsi i dalsi. Nikt też nie zwrócił specjalnie uwagi, gdy przy sąsiednim domostwie zatrzymał się rower-damka. Siedząca na niej wiejska dziewczyna w chustce zwróciła się do gospodarza, niewysokiego mężczyzny z wąsikami, palącego papierosa w szklanej fífce.

— Czy tu przypadkiem nie zastałam mojej kuzynki?

— Jak się nazywa pani kuzynka?

— Mirka. Znaczący Mirosława Wałęsowa.

— A... pani Danusia? — uśmiechnął się i wydułabał peta z fífki. — Nie, nie ma jej. Musiała zostać w domu, dzieciaki chorują. Ale jest pan Lechu. Zna go panienka?... Ten ciemny z wąsami na werandzie. Ten co właśnie zarzuca sobie wiatrówkę na ramiona.

* * *

Marczak był przygotowany. Jeszcze raz sprawdził wóz. Gość płacił wystarczająco dużo, by nie skrewić. Marczak był niezłym kierowcą i właściwie powinien wozić jakieś fisze z Rakowieckiej, ale szefom podpadł w Wietnamie. Wszyscy kombinowali, on wpadł. I tak powinien się cieszyć, że zamiast sądu polowego tylko wylano go na pysk z wojska. A ci Ruscy, którzy go zwerbowali, nie kiwnęli nawet palcem w jego obronie. Co więcej, kazali potulnie przycupnąć jak zajęcowi w bruździe i poczekać. Więc czekał, jeździł na wywrotce w Porcie Północnym i wkurzał się widząc jak kolesie, którzy dorobili się podczas Misji w Indochinach, budują daczę, robią biznesy...

Już tracił nadzieję, że kiedyś go wykorzystają kiedy zjawił się ten olbrzym, dał tauzen dolarów zaliczki i poinstruował.

Marczak dwukrotnie sprawdził miejsce akcji i stwierdził, że nie będzie problemów. Jeśli ofiara zeskoczy na pobocze i tam ją dopadnie. W razie potrzeby zjedzie nawet do rowu. Jego kumpel ze Stogów potwierdził wszystko, co mówił zleceniodawca. W trakcie rozpoznania pokazał mu „obiekt”. Inny koleś miał stać na drodze koło miejsca przyjęcia i zacząć wycierać nos, kiedy ofiara wyjdzie z przyjęcia. Marczak zamierzał ją minąć, dojechać do krzyżówki, a potem zawrócić i zaatakować czołowo, żeby mieć pewność, że trafił właściwą osobę. (Miał jechać szosą w ostatecznym momencie skrócić). Prosta robota. Z złotkami chodziło się na lepsze akcje.

Sprawdził koła kamaza, świece, zderzak, któremu miała przypaść najdonioślejsza rola, wreszcie zapłon. Ten nie mógł nawalić.

Skrzypnęły drzwi. Marczak wysunął się spod wozu. W otwartych drzwiach, przez które wlewały się strugi zachodzącego słońca, przybysz wydawał się olbrzymem. Kierowca poznał tę sylwetkę.

— Kurde, myślałem, że zjawi się pan z resztą zapłaty po akcji. O cholera, kto pana tak urządził?!!!

Dopiero z bliska zobaczył, jak strasznie zmasakrowana jest twarz Łunienki. Frankenstein umarłby ze strachu na jego widok. Kierowca jednak nie należał do lękliwych. Zleceniodawca utykał i miał rękę na temblaku. Ale poza tym emanował jakąś dziwną, zda się pozaziemską energią.

— Musimy troszeczkę zmienić plan, Marczak.

Kierowca nie lubił zmieniać planów, ale instynkt samozachowawczy podpowiadał mu, że nie należy polemizować z Rosjaninem.

— Jak pan uważa. Co mam robić?

— To co wam poleciłem.

— Więc jaka zmiana?

— Pojadę z wami.

Marczak kiwnął głową i wskoczył do szoferki. Zapuścił motor. Zaskoczył bez pudła.

— Możemy ruszać — powiedział i gdy Łunienko gramolił się do środka, szybko się przeżegnał. Nie dlatego, że wierzył w Boga, ale był przesądny.

* * *

Ogłędziny drogi wypadły zadowalająco. Pół godziny przed krytycznym momentem Lebidiew ponownie znalazł się w osadzie. Trwała zabawa, tylko śpiewy grzmiały jakby głośniej. Dłuższy czas nie mógł wypatrzyć elektryka. Czyżby już wyszedł? Piotr zaniepokoił się i odczuł nagle ulgę, kiedy przy bocznej ścianie zobaczył niewysoką postać.

Wychodząc na ulicę mężczyzna rozejrzał się, jakby sprawdzał, czy nikt nie idzie za nim. Piotr cofnął się głębiej w cień. Przez dłuższą chwilę uwaga wychodzącego skupiła się na położonej w głębi stodółce. A potem, już nie oglądając się, ruszył zdecydowanie przed siebie. Wyraźnie spieszył się. Charakterystyczną wiatrówkę przerzucił sobie przez ramię.

Piotr poszedł za nim. Znał plan. Gdy nadjedzie ciężarówka będzie musiała go ominąć, wtedy użyje granatów. Gdyby morderca zmienił plan i nadjechał z przeciwnika, miał parę innych możliwości — mógł strzelać, ściągnąć Wałęsę w bok... Na szczęście droga była bardzo słabo uczęszczana, a o tej porze absolutnie pusta i nie groziło, że oberwie ktoś postronny.

Do zakrętu pozostało jeszcze około kilometra. Elektryk i idący za nim dwadzieścia metrów Lebidiew dotarli do pierwszych drzew.

Mężczyznę w rowie Piotr zauważył dopiero, gdy znalazł się dwa metry od niego. Słaniający się na nogach pijak odlewał się w zarośla. Nie zareagował na zbliżanie się Lebidiewa. Ten ominął go i w tym momencie jakiś szósty zmysł rozdzwonił się ostrzegawczym impulsem. Za późno. Pijak był szybszy niż błyskawica. Gwałtownym szarpnięciem pociągnął Piotra za nogi. Cios potężną dłonią odebrał mu oddech. Nie mógł nawet krzyknąć. Potężny ciężar wdusił go w wilgotne dno rowu. Drugi cios. Zrobiło mu się słabo i w tym momencie poczuł kajdanki spinające mu przeguby. A więc napastnik nie zamierzał go zabijać. Przynajmniej na razie.

— I znowu się spotykamy, Pietia! Góra z górą się nie zejdzie, ale zawodowiec z zawodowcem zawsze.

Nie mógł i wcale nie musiał obracać głowy. Łunienkę poznałby nawet w piekle.

Ogłuszonego Lebediewa morderca wciągnął w głąb lasu i cisnął na ziemię. Potem spojrzął na zegarek.

— Nu, mamy jeszcze piat’ minut, tawariszcz — zarechotał. — Możemy porozmawiać. Właściwie pomonologować. Ty lepiej nic nie mów, bo gadanie na świeżym powietrzu szkodzi — tu na moment przyklęknął przy starszym lejtnancie i zakleił mu usta plastrem. — I widzisz Pietia, jak to się dziwnie dzieje? Myślałeś, że zabiłeś Wasyla? Atu aszybka. Wasyl żyje. I nawet półślepy i jednoręki poradzi sobie z tobą lepiej niż najlepsza niańka. I budżet korekturka. Myślisz, że jeśli uratowałeś Wojtyłę i ostrzegłeś Amerykańców, to coś zmieni? Że jakiś wynajęty Turek czy Palestyńczyk nie potrafi strzelić na placu Świętego Piotra? A Reagan i Brzeziński, i cała reszta mogą spać spokojnie? Nie, nie robaczku! Wszystko stanie się tak, jak miało się stać. A ty nam nie przeszkodzisz.

— A może jednak się nie stanie? — zabrzmiał bliźniutko ich głos Colemana.

— Ręce do góry! — wtórował mu Larry O’Connor. Kretynscy Jankesi. Mając Łunienkę o dwa kroki nie należało się odzywać tylko strzelać. Tak zresztą zrobił „cyngiel” Andropowa.

Mówiąc „charaszo” i wypuszczając broń ze swojej zdrowej ręki wypalił z pistoletu ukrytego w temblaku. Dwa stłumione strzały. Trafiony Coleman zawył, a Generał bez słowa zwał się twarzą na ziemię. Z ust Łunienki wydobyło się ni to przekleństwo, ni to okrzyk zadowolenia. Pochylił się po upuszczone uzi i wtedy Lebediew uderzył go bykiem. Cios był słaby, jednak Wasyl nie dosięgnął broni. Przeturlali się po trawie. Siły nie były równe i Piotr znowu znalazł się na dole. Morderca skierował na niego temblak. Jeszcze jeden stłumiony strzał...

Krew i mózg „cyngla” chlapnęły na twarz Lebediewa. Łunienko runął na ziemię. Z zarośli wysunęła się Joanna.

— Skąd ona tutaj, co to znaczy? — galop myśli w głowie Piotra osiągnął granicę bólu.

— Pomóżcie mi — cicho skowyczał Coleman. — Pomóż mi, Joanno, ten bydlak paskudnie mnie trafił.

Leśniewska podniosła broń Łunienki, zrobiła dwa kroki. Coleman przerażony i osłupiały zamilkł.

— Muszę być wolna — powiedziała strzelając między piękne oczy zastępcy radcy handlowego... Potem wcisnęła broń w łapę Wasyla.

Działała bardzo szybko. Zerwała plaster z ust Lebediewa i otworzyła mu kajdanki. Ten chwycił z rowu swoją teczkę i zataczając się wybiegł na szosę. Ale już ucichł hałas jadącej ciężarówki. Daleko w połowie drogi majaczyła sylwetka samotnego mężczyzny. Czyżby niczego nie słyszał? No tak, nasyp, las, tłumiki zrobiły swoje.

Rosjanin przyłożył dłonie do ust. Nie liczyło się już, czy Joanna pozna nazwisko mężczyzny.

— Panie Lechu, panie Wałęsa — krzyknął. Ten nawet się nie obejrzał. W oddali rozbłysnęły reflektory powracającego kamaza.

— Strzelajmy — krzyknęła Joanna odkręcając tłumik. Wypalili oboje. Ale czy maszerujący, lekko zawiany mężczyzna mógł ich usłyszeć? Ciężarówka znajdowała się o parę kroków. Wszystko zagłuszył ryk silnika pracującego na przyspieszonych obrotach. Kamaz pędził środkiem szosy. W ostatnim momencie piechur zorientował się, że coś jest nie tak i przystanął przysłaniając twarz rękami. Kierowca nadjeżdżającej wywrotki wykonał raptowny skręt kierownicą, zderzak uderzył mężczyznę. Ten wystrzelił w górę, bez krzyku przeleciał kilkanaście metrów i rąbnął w betonowy słup trakcji elektrycznej. Chrupnięcie kręgosłupa...

Marczak wyprowadził wóz z poślizgu i zaśmiał się w duchu.

— Jakie to proste! Dobrze zarobiłem na swojej stawce!

Na drodze, paręset metrów przed sobą, zobaczył sylwetkę wysokiego mężczyzny. — Dobrze jest, zleceniodawca czeka z zapłatą. Brawo dla kasjera — pomyślał i zahamował.

Ale gość nie zamierzał wsiadać. I co gorsza, nie był to wcale jednooki Rusek. Zamiast pogratulować i otworzyć drzwiczki wrzucił przez okno coś, co wyglądało jak dwa duże indyjskie jajka. Marczak zdążył nawet zarejestrować ich karbowaną skorupkę. Lebidiew padł twarzą w rów.

Dwie detonacje w jednej. Burza ognia i powracające od lasu echo.

— Po wszystkim — powiedziała cicho Joanna.

— Tak, po wszystkim.

* * *

Wrzawa dobiegająca z podwórka, pulsujące światła radiowozu, okrzyki, płacz kobiet, obudziły zagrzebanego w sianie biesiadnika. Usiłował przypomnieć sobie, gdzie jest i co robi tutaj, na stryszku stodółki?

W powietrzu czuł jeszcze niepokojącą woń perfum tajemniczej dziewczyny, która prosiła go o chwilę rozmowy, później pocałowała, zaprowadziła na stryszek, a potem... Nie pamiętał.

— Danka mnie zabije! — pomyślał ze zgrozą. — A gdzie moja wiatrówka? Piękna nowa wiatrówka z NRD.

* * *

— I to jest wszystko — skończyła swoją opowieść Joanna. — Cała prawda, Piotrze. Dopóki Coleman żył nie miałam żadnych szans stać się niezależną. A teraz? Z tego co wiem o Bobie, to nie przekazywał wszystkiego, co o nas wiedział do Centrali. Mam więc szansę odzepić się od przeszłości. Wyjedźmy stąd gdzieś, do Kanady, Australii... A kiedy Polska będzie wolna, wrócimy.

Słuchał jej w milczeniu paląc papierosa.

— Zrozum — mówiła, a głos jej drżał. Czowała, że cokolwiek powie, cokolwiek zrobi, Lebidiew nigdy nie będzie mógł mieć do niej zaufania. — Zrozum, nie miałam wyboru jak tylko przyjąć pomysł Boba... znaczy Colemana. Ułatwiają ci ucieczkę, miałam ci pomagać, być razem z tobą i jednocześnie informować o twojej akcji. Czuwać nad tobą. Jak widzisz, spisałam się dobrze. Gdybym nie uspiła Wałęsy w stodółce i nie namówiła wąsatego sąsiada na nocny spacer, to czyje ciało zbieraliby teraz z drogi?...

— Tak, powiedział krótko — i starannie zgasił papierosa. — Musiałaś...

Leżeli na suchym, aromatycznym sianie rozgrzebanego stogu, gdzieś w środku wielkich, płaskich Żuław. Z pobliskiego kanału dolatywał rechot żab. Milczało za to gwiaździste niebo rozpięte od krańca do krańca.

— Naprawdę kocham cię, Piotrze — zabrzmiało cicho, nieśmiało, przepaszająco...

— I ja ciebie też kocham, Joanno.

A potem rzeczywiście się kochali, I była to chyba najpiękniejsza miłość świata, doskonale skomponowany utwór muzyczny. Rozpoczęła go allegro wzajemnych pieszczot, gwałtownych pocałunków, przyspieszające, zbliżające, rozpalające... Potem nastąpiło raptowne zwolnienie, rozmarzyła ich słodycz andante, rozkoszowanie się wzajemnym posiadaniem, przenikanie aż do zapomnienia, aż do pełnego zespolenia z sobą, z pachnącym sianem, niebem bardziej gwiaździstym niż amerykański sztandar i z nieubłaganym czasem, będącym w nich i poza nimi. A potem wpadli w gwałtowne presto, presto, furiozo!

Zakończone wspólnym jękiem, rozkoszą niepojętą, niewiarygodną niezmierną. Później przysnęli.

Ocknęła się nagle, spocona i przestraszona. Niebo od wschodu różowiało. W oddali pogwizdywał pociąg. Za to żaby umilkły. Odwróciła głowę. Tylko wgłębienie w sianie wskazywało, gdzie zasnął Piotr. Próbowala podnieść się, odczuwała zawroty głowy. Wołga siostry Imeldy zniknęła. Dróżka była kompletnie pusta.

— Piotrze... — więcej nie mogła powiedzieć. Czula się słabo. Czyżby zmęczyła ją miłość? A potem na swoim ramieniu zobaczyła ślad po ukłuciu, trochę mniejszy niż po ukąszeniu komara. Dookoła wstawala mgła. Podnosiła się wszędzie. Była biala, lepka i niesłychanie spokojna. Joanna też się uspokoiła. Nawet nie przejęła się bardzo, gdy zobaczyła płynącą ponad kłębami mgły półprzezroczystą figurkę starej kobiety z kosą. Tak wyobrażała sobie śmierć. A ta przychodziła do niej zgodnie z dziecinnyimi wyobrażeniami.

EPILOG

W 1978 roku wrzesień w Grecji nastał chłodny i dżdżysty. „Winter time”, jak koślawą angielszczyzną mawiali potomkowie Achillesa i Agamemnona, nastał szybciej niż zwykle. Nie dziw, że turyści, którzy nie zdołali się dotąd dosmażyć, szukali słońca dalej na południu, na Rodos, Krecie, Peloponezie.

Lekko utykający mężczyzna w ciemnych okularach i doskonale skrojonym jasnym garniturze, szedł pustawą już promenadą w Kato Achaja. Minął sklepiki, na których wśród tysięcznych suwenirów i bibelotów pyszniły się ogłoszenia: „Tickets for Italy”. Na falach zatoki korynckiej połyskiwała sylweta promu nadpływającego z Brindisi do wielkiego portu w pobliskiej Patrze.

Uśmiechnął się, przystanął przy straganie i zaczął kupować owoce: dorodne brzoskwinie, morele, kiście ogromnych winogron. Spieszył się. W wynajętej willi czekały na niego dwa głodomory, bliźniaczki Kasia i Basia. Poznał je przed tygodniem w Olimpi, zaprosił do swojego, kupionego w Wiedniu, BMW, no i zostały.

Miały jedną wadę, były nierozróżnialne. Zdarzyło się, że gdy spytał:

— Czy ja kochałem się już dzisiaj z tobą, Basiu — słyszał w odpowiedzi:

— Ależ skąd, to była Kasia.

Od paru miesięcy trwał wspaniały okres relaksu dla Lebidiewa. Akcja została zakończona. Irlandczyk, który miał być katem Margaret Thatcher, spoczywał pięćdziesiąt centymetrów pod powierzchnią Zielonej Wyspy, a wnętrzności niedoszłego zamachowca Chomeiniego dawno przemieszały się z piaskiem syryjskiej pustyni.

Piotr był wolny, młody, bogaty.

Dlaczego więc co pewien czas zamykał się w hotelu sam, z butelką czystej wódki i pił, pił, a potem płakał?

Zabił Joannę, bo musiał. Wiedziała o „Korekturze” i o predestynacji elektryka. Nie mógł ryzykować. Więc zabił swoją miłość. Wiedział, że nie cierpiała. Lekarze stwierdzili zawał serca.

A teraz co mu pozostało? Bawić się?

Monika w Wenecji, Milena w Sarajewie, Erika w Salonikach, teraz te dwie polskie szczeniary, które odłączyły się od wycieczki i chciałyby tu zostać.

— Chcecie do końca życia zrywać winogrona i pić metaxę? Powinnyście wracać — mówił im jak ojciec.

— A ty dlaczego nie wracasz, Piotrek?

Chętnie by wrócił. Miał już nawet dokumenty następnego Amerykanina polskiego pochodzenia. Mógłby wrócić, gdzieś zainwestować. Ale czy potrafiłby nie mieszać się do polityki? Czy zdołałby oprzeć się fali „Solidarności”? Czy nie korciłoby go, aby tu pomóc, a tam ostrzec... Nie! Nic nie mogło być zmienione. Nic!

Co więc miał z sobą robić?

Mógł tylko czekać. Czekać do 1993 roku, kiedy kończyła się „Prognoza”. Dalsza przyszłość była niewiadoma. Dalej już mógł się włączyć w nurt historii, współtworzyć ją i zmieniać bez lęku, że naruszy czasoprzestrzenną strukturę.

Mógł wrócić do Polski lub Rosji, która przecież stanowiła jeszcze większe, jeszcze bardziej niebezpieczne wyzwanie.

Piętnaście lat to sporo. Rezerwy po Łunience niedługo się skończą. Coś trzeba będzie robić. Oczywiście mógłby sprzedać swoje umiejętności komukolwiek, chętnych nie brakowało — Legia Cudzoziemska, latynosczy dyktatorzy, Kadafi? Ale nie chciał.

Po śmierci Joanny postanowił, że już nikogo nie zabije. Miał zdecydowanie dość, nawet jeśli cel uświęcał środki.

Mijając witrynę sklepu z telewizorami przystanął. Żywot playboya nie zmniejszył jego zainteresowania polityką. Od kilkunastu dni śledził szczegółowo doniesienia dochodzące z Włoch. Zmarł Paweł VI, trwało konklawe.

Właśnie telewizja przerwała nadawanie programu. Pojawił się napis po włosku: „Specjalnie z Rzymu”.

Wszedł do sklepu. Przy telewizorze z włoskim programem zatrzymała się para turystów z Italii i również wpatrywała się w ekran.

„Habemus papam” — rozległo się z ust kardynała na balkonie.

Kamera pokazała wielki plac przed bazyliką, krótki paroksyzm radości zgromadzonego tłumu. Z następnych słów zrozumiał jedynie — Albino cardinali Luciani...

— Nasz, nasz! — zawołała gruba Włoszka i ucałowała męża.

— Przepraszam państwa — zwrócił się do nich po angielsku — ale co to znaczy?

— Mamy nowego papieża. Naszego patriarchę z Wenecji.

— Włocha?

— A kogo? Przecież papieżem zawsze musi być Włoch. Chodź, Carlo, trzeba to uczcić. Pójdzie pan z nami?

Wyszedł na ulicę jak pijany. Przelatywał w pamięci zapis „Prognozy” i „Korektury”. Co tu się stało? Przypomniało mu się zdanie Liwszyca o jedenastoprocentowym marginesie błędu. Czyżby zdarzył się ten margines?

I co teraz?

Albino Luciani — Jan Paweł I miał zostać papieżem, według „Korektury” tylko wtedy, kiedy na konklawe nie pojawiłby się ani Wojtyła, ani złożony ciężką chorobą Wyszyński. Luciani był postępowy, nowoczesny. Taki papież eurokomunista. Nie kto inny, ale właśnie On swoimi apelami miał uspić całą Europę i dopomóc podbojowi kontynentu przez Andropowa. To On podczas negocjacji w Castel Gandolfo miał doprowadzić do Historycznej Zmiany we Włoszech i powołania Wielkiej Koalicji z komunistycznym premierem. Koalicji, która miała przetrwać pół roku. A później...

Pomyślał o sugestywnych obrazach Rodrigueza, o rozstrzeliwaniu prawicowych, a potem i socjalistycznych deputowanych w ruinach Koloseum, o studentach masakrowanych na stadionie olimpijskim...

To nie Piotr podjął decyzję.

To ktoś inny, który obudził się w nim niedawno, ale był coraz silniejszy, bezwzględniejszy. Tak, do dziewcząt napisze kartkę, obieca, że przyśle im do Polski pieniądze, niech zakładają teraz wymarzony zakład kosmetyczny, niech wychodzą za swoich inżynierków, niech rodzą im dzieci.

Wszedł do sklepu.

— Poproszę bilet na najbliższy prom z Patry do Włoch — powiedział.

Ciemna, prawie negroidalna sprzedawczyni wytrzeszczyła w uśmiechu potężne zęby i zapytała:

— Jeśli pana to interesuje, rezerwujemy również bilety na ekspresy z Brindisi do Neapolu, Mediolanu, Rzymu.

Wśród różnorodnych widokówek dostrzegł zdjęcie jakiejś kapliczki, a nad nią w kółeczku twarz założycielki miejscowego zgromadzenia, świątobliwej dziewiętnastowiecznej zakonnicy. Bardzo przypominała siostrę Imeldę. I znów usłyszał jak echo jej starczy głos:

— Jeśli będziesz zwiedzał Watykan młody człowieku, koniecznie musisz mnie odwiedzić.

— Słucham, mister? — delikatnie przynagliła go Greczynka. — Zdecydował się pan?

— Tak, zdecydowałem. Sypialny do Rzymu!

maj-lipiec 1993